

PATT BUCHEISTER
NA TROPIE MIŁOŚCI

ROZDZIAŁ I

„W skali od jednego do dziesięciu przyjęcie zasługuje na piątkę” - myślała Courtney Caine, oparta o ścianę wielkiego salonu. Bywała na gorszych, zdarzały się też lepsze.

Od jej ostatniego pobytu tutaj, jakieś sześć miesięcy temu, dom został odremontowany. Courtney pomyślała z rozbawieniem, że ten imponujący, utrzymany w kolonialnym stylu dworek, należący do szefa jej matki, częściej przechodzi gruntowną renowację niż ośmioletni samochód właściciela domu. Gdy dziesięć lat temu Tyrell Gilbert kupił dom nad rzeką James w Wirginii, matka uznała, że jest kopnięty. „Tak daleko od biura w Nashville -mówiła - i kawał drogi od lotniska.” To jednak najbardziej pociągało Tyrella. Niedawno matka z tych samych względów kupiła podobną posiadłość poza granicami Yorktown.

Courtney obrzuciła pokój badawczym spojrzeniem. Wolą pozostać obserwatorem, przyglądać się uroczystościom z pewnego oddalenia, niż dołączyć do stłoczonych grupek uczestników. Nie miała nastroju do uprzejmych pogawędek ani udzielania wyjaśnień na temat swojego utykania.

Ktoś zawsze spostrzegwał, że kuleje i wypytywał ją o to uprzejmie, lecz uporczywie. Utykała nie

bardziej niż inni z powodu pęcherza na stopie, przyciągało to jednak więcej uwagi, niżby sobie życzyła. Jej odpowiedzi zależały od nastroju, w którym była i sposobu, w jaki zadano pytanie. Odpowiadała raz żartem, kiedy indziej wyniośle, o wypadku podczas jazdy na nartach lub o nadeptnięciu na gwóźdź. Mówiła wszystko, tylko nie prawdę. Od dawna nosiła na nodze metalową klamrę i zdążyła się do niej już przyzwyczaić. Niezależnie jednak od tego, jakby się starała, nie umiała przywyknąć do współczujących spojrzeń tych, co znali jej tajemnicę, albo sposobu, w jaki ją traktowano, gdy ktoś zobaczył obręcz. Wolą ją ukrywać niż ściągać powszechną uwagę.

Długa suknia, którą miała na sobie dzisiejszego wieczoru, skutecznie zasłaniała klamrę pod lewym kolaniem. Tak długo, jak pozostanie na swoim miejscu, tłumaczenia, dlaczego uważa tak na nogę, nie będą potrzebne. Spostrzegła fotografa z dwoma aparatami zawieszonymi na szyi, rozglądającego się za honorowym gościem.

Courtney miała wprawę w unikaniu aparatów, gdy przebywała ze swą sławną rodziną. Miała niewiele zdjęć, które lubiła. W przeciwieństwie do matki i siostr, wolą spędzać czas w wypełnionej książkami bibliotece niż na przyjęciu lub na scenie przed widownią pełną fanów muzyki. Czasami jednak, po wielogodzinnych namowach matki, zgadzała się przyjść. „Amethyst Rand mogłaby zostać specjalistką w dziedzinie pertraktacji” - myślała z rozbawieniem Courtney.

Matka wiedziała, że jej córka nie lubi występować jako osoba publiczna, co było częścią ich rodzinnego życia, zwłaszcza przez ostatnie dwa lata. Odmowy Courtney przyjmowała zazwyczaj ze zrozumieniem, chyba że obecność wszystkich jej dziewcząt była dla niej bardzo ważna. Tak jak dziś. Amethyst była bowiem honorowym gościem

przyjęcia, wydanego przez szefa na cześć dwudzie-stopięciolecia jej pracy w biznesie muzycznym.

Ze swego miejsca przy ścianie, najbliżej wejścia do salonu, Courtney patrzyła przez zwieńczone łukiem przejście na długi stół z zimnym bufetem w jadalni. Nie musiała podchodzić do nakrytego adamaszkowym obrusem stołu, by wiedzieć, jaki typ potraw przygotowano. Kawior w wypełnionych lodem miseczkach, pató w kształcie ryby lub jakiegoś innego dziwaczego stworzenia, faszerowane krewetki i inne egzotyczne potrawy, wybrane ze względu na cenę i podane tak pięknie, że aż żal było je zniszczyć.

Po dwóch godzinach pracowicie przystrojone dania pozostały niemal nietknięte przez elegancko ubranych gości. To samo można by powiedzieć o szampanie, którego ilość zmniejszała się w bardzo powolnym tempie.

Courtney nie mogła nie uśmiechnąć się na myśl, że honorowy gość wołałby raczej hot-dogi, frytki

i szklankę zimnej lemoniady bądź piwa, zamiast całego tego drogiego, wymyślnego jedzenia. Jej matka mówiła o tych potrawach „pogryzanki” -miło na nie popatrzeć, ale żywić się tak na co dzień nie miałyby ochoty.

Uśmiech Courtney zniknął, kiedy zorientowała się, że jest obserwowana. Znowu. Jeszcze zanim rozejrzała się, wiedziała, kto jej się przygląda. Nikt inny w tym pokoju nie powodował tego dziwnego mrowienia przebiegającego po jej skórze, nikt inny, tylko ten jeden patrzący na nią mężczyzna. On nie patrzył na nią, lecz wprost pożerał wzrokiem z zachłannością, jakiej nigdy nie doświadczyła. Stał właśnie w przejściu prowadzącym do jadalni, wyraźnie się w nią wpatrując. Spostrzegła to nie po raz pierwszy tego wieczoru. Ani duża odległość, ani dzielący ich tłum nie osłabiały uczucia niepokoju wywołanego tymi badawczymi spojrzeniami. Jak wszyscy obecni mężczyźni, nosił smoking. Oficjalny ubiór nie przeszkadzał mu być zupełnie na luzie. Nie stał sztywno, jak niektórzy, w obawie, by nie pomiąć ubrania i nie szarpał zbyt ciasnego kołnierzyka. Miał gęste, czarne włosy, lekko opadające na kark i wydawało się jej, że nie był typem mężczyzny przykładającego szczególną uwagę do najnowszych trendów w modzie. Cerę miał śniadą i śmiało patrzące na nią oczy.

Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, wydał jej się bardzo podobny do samotnego Indianina na koniu z obrazu wiszącego w domu matki w Nashville.

Miał tak samo zarysowane kości policzkowe, jakby rzeźbiony nos i czarne oczy, które potrafiły zaglądać do wnętrza duszy. Poczula się zmieszana myślą, że właśnie teraz próbuje poznać jej duszę. By nie wydać się onieśmieloną utkwionym w niej wzrokiem, odpowiedziała równie śmiałym spojrzeniem. Mężczyzna zauważył wyzwanie w jej oczach i kącik jego ust podniósł się delikatnie.

Nie wiedziała kim jest, wiedziała jednak z kim tu przyszedł. Uciekając przed natarczym spojrzeniem, przebiegła wzrokiem pokój w poszukiwaniu kobiety, której powinien towarzyszyć - swej siostry Amber. Z początku nie widziała jej wśród tłumy gości. Potem dostrzegła, że dziewczyna stara się precyzyjnie w kierunku nieznanego bruneta. Courtney uśmiechnęła się. Mężczyzna będzie za chwilę zbyt zajęty tą rudowłosą iskrą, by się w nią wpatrywać.

Amber była najmłodsza z trójki dziewcząt i równocześnie najbardziej podobna do matki. Pogodna, wesoła, z uśmiechem przyjmowała wszystko, prócz niezwracania na nią uwagi.

Crystal była najstarsza. Bardziej poświęcała się pracy niż Amber. Odrobinę cynicznie patrzyła na życie jako takie, a zwłaszcza na mężczyzn. Trzy siostry miały różnych ojców, były jednak bardzo sobie wierne i oddane matce. Dlatego właśnie irytował Courtney mężczyzna, który gapił się na nią, zamiast poświęcić całą uwagę jej siostrze.

Przez ostatnie pięć lat obie siostry Courtney występowały jako profesjonalne piosenkarki i wśród tłumu czuły się równie swobodnie, jak ich spontaniczna matka. Pod nazwą „Klejnoty Południa” zdobyły popularność wśród kilku generacji fanów muzyki country. Amethyst zwykle nagrywała i występowała sama, Crystal i Amber śpiewały w duecie. Kilka razy w roku występowały wspólnie. Courtney była z nich dumna, kochała je, nie czuła zazdrości i nie pragnęła zamienić swego naukowego życia na to, jakie prowadziły siostry.

Potrząsnęła przecząco głową, gdy podszedł do niej kelner ze srebrną tacą, na której stały kieliszki o smukłych nóżkach wypełnione musującym winem. Od momentu przybycia, dwie godziny temu, wciąż trzymała w dłoni ten sam kieliszek. Szampan ogrzał się już i dawno przestał się pienić. Nie miało to jednak znaczenia, nie zamierzała go wypić. Kieliszek był tak samo rekwizytem, jak słaby uśmiech na jej wargach.

Z rozbawieniem obserwowała Amber, prowadzącą swego towarzysza w kierunku bufetu. Jak zwykle, siostra poruszała się w oszłamiającym tempie. Courtney współczuła mężczyźnie, dostrzegłszy jego zdezorientowaną minę. Siostra potrafiła przeskakiwać z tematu na temat jak odbijająca się pingpongowa piłeczka, nie martwiąc się o ostateczną konkluzję.

- Czy miałaś okazję zobaczyć odnowioną ostatnio toaletę Tyrella? - usłyszała kobiecy głos. Courtney odwróciła głowę i zobaczyła wyrosłą koło niej jak spod ziemi Crystal.

- Nie - odpowiedziała z uśmiechem. - Jak wygląda?

Od dzieciństwa bawiły się porównywaniem sposobów urządzania łazienek.

- Weź cukrową watę, starego kadilaka mamy i wydekoltowaną sukienkę ślubną Mavis Cravet.

- W różowym kolorze?

Tłumiąc śmiech, Crystal odchyliła się w kierunku ściany.

- W drobne białe kwiatuszki. Nawet umywalka i sedes. A pamiętasz łazienkę, którą widziałyśmy kilka lat temu na przyjęciu w Richmond? Tyrell przynajmniej nie wyłożył sufitu lustrami i zrezygnował ze świecznika.

Stawiając niemal nietknięty kieliszek szampana na tacę przechodzącego kelnera, Courtney powiedziała:

- Albo oprawione papiery rozwodowe na ścianie u tego producenta płytowego z Kalifornii, o którym mi mówiłaś. - Jej wzrok powędrował po pokoju. - Gdzie jest nasz gospodarz? Nie widziałam Tyrella, od kiedy tu przyszedłem.

- Ostatni raz widziałam go, gdy ciągnął mamę,

by poznać ją z jakimś facetem z Nowego Jorku. Znasz Tyrella. Nie przepuści okazji zareklamowania mamy. Czy udało ci się w ogóle zamienić z nią choć słowo dziś wieczorem? Courtney uśmiechnęła się.

- Dorwała mnie wcześniej w kuchni.

- Czy powiedziała ci o plantacji w Mallory?

- Tak. Obiecałam dowiedzieć się wszystkiego o historii tego miejsca. Myślę, że po raz

pierwszy zdała sobie sprawę, że córka - nauczycielka historii może się do czegoś przydać.

- Jest tak zaaferowana mieszkaniem na plantacji. Przejrzała nawet przepisy na likier miętowy.

- Mam nadzieję, że uda się bardziej niż świąteczny poncz. Cierpły mi od niego zęby.

Odwracając się z uśmiechem od siostry, Courtney znowu spostrzegła towarzysza Amber, wpatrującego się w nią. Stał w odległości jakichś czterech metrów w grupie kilku mężczyzn, poświęcając wyraźnie więcej uwagi jej osobie, niż człowiekowi, który właśnie mówił. Amber nie było przy nim. Courtney zauważyła, że przenosi wzrok raz na nią, raz na Crystal, najwyraźniej je porównując. Nie było trudno odgadnąć jego myśli, siostry różniły się bowiem jak dzień i noc.

Crystal była jasna i pełna blasku w lekkiej żółtej sukni, zdobionej perełkami, z włosami misternie upiętymi wysoko na głowie. Miała wspaniale zrobiony makijaż, podkreślający oczy o ciemniejszym odcieniu brązu niż oczy jej siostry. Courtney była ubrana w białą, zwiewną suknię z koronkowym stanikiem. Ciemnoniebieskie włosy zebrane do tyłu spinała na wysokości karku biała, aksamitna kokarda. Nosila bardzo delikatny makijaż. Jej wygląd cechowała przesadna prostota w porównaniu z blaskiem i elegancją siostry.

- Zastanawiam się - szepnęła Crystal, obracając się w kierunku, w którym patrzyła Courtney - jak wygląda jego łazienka?

Courtney z trudem zdołała powstrzymać się od śmiechu.

- Może zapytasz Amber? To ona tu z nim przyszła.

- Znają się od wczoraj. On traktuje ją jak zabawną młodszą siostrzyczkę.

- Podobnie jak my. - Courtney uśmiechnęła się z trudem. - A co się stało z jej koszykarzem?

- O ile mi wiadomo, okazał się trochę zbyt szybki.

- Zauważyłam, że przyszedł z księgowym. Kiedyś chyba skarżyłaś się, że jest nudny.

- Przynajmniej ktoś mi towarzyszy. Nawet jeśli ma być to przynudzający Bruce. Ty, jak zwykle, jesteś sama.

- Nie zaczynaj - ostrzegła Courtney. Nie spotykała się z nikim od dwóch lat, kiedy to Philip Se-avors skutecznie i na długo zraził ją do mężczyzn.

Crystal westchnęła:

- W porządku. Zostawmy to. - Znowu spojrzała na ciemnowłosego mężczyznę. - Sprawy mają się chyba lepiej. Ten facet nie spuszcza z ciebie oczu.

- Przyszedł tu z Amber. - Courtney zawahała się, zanim zadała pytanie, które dręczyło ją od czasu, gdy ujrzała go po raz pierwszy: - Kim on jest?

- Ma zająć się renowacją plantacji, którą kupiła mama. Nazywa się Denver, co może równie dobrze być jego imieniem, nazwiskiem, jak też miejscem, z którego pochodzi.

Courtney uśmiechnęła się. Jeśli mamie nie odpowiadało czyjeś imię, miała zwyczaj nazywać takiego człowieka według własnego uznania.

Amethyst, stojąca razem z Amber przy białym pianinie na drugim końcu salonu, pochwyciła spojrzenia Courtney. Po raz kolejny Courtney pomyślała, że jasnowłosa Amethyst wygląda raczej na siostrę niż na ich matkę. Szafirowoniebieska suknia, którą miała na sobie, podkreślała smukłą sylwetkę, a wspaniale dobrane szpilki dodawały centymetrów do jej drobnego wzrostu. Czego nie podarowała natura, dokonał

perfekcyjnie zrobiony makijaż. Nauczyła się tego w ciągu lat zawodowej praktyki. Długie, pomalowane paznokcie i rzęsy mogły być nieprawdziwe, cechowało ją jednak naturalne poczucie humoru i szczere oddanie rodzinie.

Amethyst zgięła palec w przywołującym geście. Courtney zwróciła się do siostry:

- Chce, abyś podeszła, Crys. Czas na występ. Zamiast odejść, Crystal zwróciła się do Courtney:

- Może zaśpiewałabyś z nami. Wiesz, że zrobiłabyś tym mamie ogromną przyjemność.

Courtney potrząsnęła głową.

• Chcę zajmować się tym wyłącznie amatorsko.
• No, chodź. Kiedyś śpiewałaś razem z nami. Przed spotkaniem tego głupka Philipa zajmowałaś się wieloma rzeczami, których już teraz nie robisz.

• Crystal - jęknęła Courtney.

• Wiem. Nie chcesz o nim mówić.

Gwar rozmów przycichał, goście czekali już na występ Amethyst i jej córek.

Courtney słyszała melodię graną na pianinie. Obawiała się, by nie ściągnąć na siebie uwagi, gdy z jej powodu Crystal nie dołączy na czas do Amethyst i Amber. Dotknęła ramienia siostry.

- Powinnas już iść. Goście zaczynają się niecierpliwić.

Crystal wzruszyła ramionami i odeszła. Ciche oklaski towarzyszyły jej, gdy szła po wschodnim dywanie w kierunku matki i siostry. Uwaga wszystkich skupiła się teraz na Tyrellu Gilbertcie, który w bardzo kwiecisty sposób przedstawiał artystki. Było to tak samo potrzebne, jak ogłoszenie, że słońce wzejdzie o świcie. Wszyscy znali je i doskonale wiedzieli, czego mogą się za chwilę spodziewać. Łaskawie pozwolono jednak gospodarzowi skończyć mowę. Oklaski przycichły, gdy Tyrell pogratulował Amethyst dwudziestopięcioletniej pracy w biznesie muzycznym. Kobiety zaprezentowały następnie wiązankę przebojów Amethyst i kilka przebojów młodszych pań.

Courtney przesunęła się trochę, by obejść dość korpulentnego mężczyznę stojącego przed nią. Znalazła się w ten sposób bliżej drzwi, na czym jej właśnie zależało. Gdy tylko mama i siostry zakończą występ, rozpocznie się sesja fotograficzna. Dla Courtney będzie to sygnał do wyjścia. Gdy przestaną śpiewać, Tyrell na pewno ustawi je w najrozmaitszych pozach do zdjęć. Przesuwając się bokiem w kierunku drzwi, Courtney chciała dać znak matce, że wychodzi. Nie miała jednak szczęścia.

- Jeszcze jeden krok i znajdzie się pani na zewnątrz.

Na dźwięk niskiego męskiego głosu przebiegł ją dreszcz.

Obróciła głowę i zobaczyła stojącego przy niej człowieka, którego mama nazywała Denverem. Rozbawienie dodało ciepła jego szarym oczom, a uśmiech igrał na zaciętych zwykle wargach.

- Opuszczenie sali to właśnie główny cel - odparła chłodno.

• Czy nie podoba się pani przyjęcie? Wzruszyła ramionami.

• Jest zupełnie w normie.

• Nie jesteśmy wielbicielek muzyki country?

- Jestem wielbicieleką Amethyst Rand, Amber i Crystal.

Patrząc jej w oczy, mężczyzna oparł ramię

o ścianę tak, że zaledwie centymetry dzieliły ich ciała. Dziewczyna zmusiła się, by pozostać w tym samym miejscu. Poły jego marynarki rozchyliły się, ukazując czerwoną jedwabną podszewkę. Stojąc tak blisko, w lakierkach, z lśniącymi kruczoczarnymi

włosami, wydał się szalenie atrakcyjny. Dostrzegając wysoki wzrost i dobrze zbudowaną sylwetkę, poczuła również dziwny zapach - kombinację aromatu sosny i jego własnej męskiej woni. Nie spuszczał z niej wzroku, gdy obejrzała się w kierunku kobiet przy pianinie.

- Są brązowe - wyszeptał miękko. - Tak myślałem. Słyszac to dziwne zdanie, ponownie zwróciła ku niemu spojrzenie.

- Przepraszam?
- Pani oczy. Zastanawiałem się, jakiego są koloru.

• Czy prowadzi pan jakiś rodzaj badań nad kolorem ludzkich oczu? - Ze wszystkich sił starała się, by jej głos brzmiał naturalnie.

• Jedynie pani oczu. - Właściwie odczytując wyraz jej twarzy, zapytał: - Dlaczego wydaje się to pani tak niewiarygodne?

• Prawdopodobnie dlatego, że to nie moje oczy przykuły pańską uwagę dzisiejszego wieczoru.

Wzrok mężczyzny ześliznął się po szyi Courtney na jej piersi, okryte jedynie cienką tkaniną z białym koronkowym wzorem. Serce dziewczyny biło gwałtownie, mężczyzna ponownie zaczął wpatrywać się w jej twarz.

- Jest pani piękną kobietą - powiedział, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. Uniósł dłoń, dotknął diamentowego kolczyka w jej uchu i przesunął powoli palec w dół szyi. - Jest pani kobietą kontrastów. Twarde diamenty w uszach i skóra delikatna jak jedwab. Gorący uśmiech i niespokojne oczy. Obecna na przyjęciu, ale naprawdę nie biorąca w nim udziału. Nie mogę się temu nadziwić.

Pod dotykiem jego palców delikatny dreszcz prześliznął jej się po plecach. Spojrzała w bok.

• Można by już z tym skończyć.
• Nie można. - Niski, głęboki głos wprawiał w drżenie każdy jej nerw. - Nie ma pani pojęcia, ile siły kosztuje mnie powstrzymywanie się od dotykania pani.

Potrząsnęła głową.

- Jakkolwiek się pan nazywa...
- Denver.
- Panie Denver...
- Sierra.

Zamrugnęła oczami, gubiąc na chwilę wątek.

- Słucham?
- Nazywam się Denver Sierra. Machnęła ręką.

• Nie ma znaczenia, jak się pan nazywa. Chciałabym powiedzieć...

• Dla mnie to ma znaczenie - przerwał jej znowu. - Wolałbym, by nie zwracała się pani do mnie: „jakkolwiek się pan nazywa”.

Courtney zagryzła wargi, próbując opanować nerwy. Gdyby tylko ten przeklęty facet pozwolił jej skończyć zdanie, mogłaby przerwać nareszcie tę rozmowę. Zmarszczyła czoło, starając się przypomnieć sobie, co też próbowała mu powiedzieć. Jakby czytając w jej myślach, rzekł:

- Mówiliśmy o moich trudnościach z powstrzymywaniem dłoni od dotykania pani.

Obróciła się, by spojrzeć mu prosto w twarz. Opierając dłonie na biodrach, uniosła

buntowniczo brodę.

- Powinien się więc pan uczyć panować nad sobą, panie Sierra. Nie ma pan prawa...
- Denver - powiedział łagodnie.
- Jeśli nie przestanie mi pan przerywać, uderzę pana - syknęła przez zaciśnięte zęby.
- Czy wie pani, że w złości pani oczy sypią złote iskry?

Courtney próbowała liczyć do dziesięciu, jednak to nie pomogło. Dziwne, jak szybko się denerwowała. Przez ostatnie dwa lata żyła w uczuciowej próżni, a Denver Sierra wyrwał ją z niej kilkoma zaledwie uwagami. Nie czuła jednak wdzięczności. Wzięła głęboki wdech i spokojnie powiedziała:

- To, co powiem, może być dla pana szokiem, nie jest jednak przyjęte, by mężczyzna zaczepiał kobietę, gdy przyszedł na przyjęcie z inną. Trudno go wtedy nazwać godnym zaufania.

Słuchając jej, Denver skrzyżował na piersi ramiona. Wciąż oparty o ścianę, przyglądał jej się tak, jak gdyby mierzył jej zdenerwowanie.

- Czy uwierzy pani, że przyprowadziłem tu Amber Childs na prośbę klienta?

-Nie.

• To prawda. Och, jest śliczną kobietą i lubię z nią przebywać, nie sądzę jednak, bym miał widywać ją kiedykolwiek w celach towarzyskich.

• Ona może uczynić spustoszenie - powiedziała Courtney oschle.

• Wątpię. - Uśmiechnął się. - Amber spełnia tylko życzenia mamy, podobnie jak ja.

Pani Rand chciała, bym zobaczył dom jej pracodawcy, a jej córka nie miała towarzysza, więc trafiłem tutaj. Nie przedstawiła mi się pani jeszcze.

- To prawda.

- Łatwiej mi będzie, jeśli poznam imię kobiety, o której będę myślał po odprowadzeniu Amber do domu.

Courtney poczuła się rozbawiona własnymi oporami przed ujawnieniem swego imienia. Nie było przecież nic nadzwyczajnego w jego prośbie, z wyjątkiem może sposobu, w jaki ją motywował, nie chciała jednak dać mu nawet małej cząsteczki siebie. Zmieszana tymi niepoważnymi myślami, powiedziała:

• Nazywam się Courtney.

• To imię czy nazwisko?

• Imię.

Oczy rozjaśniło mu zadowolenie.

• A nazwisko?

• Caine - rzekła z westchnieniem.

• Courtney Caine - powtórzył. - Podoba mi się. Bardzo do pani pasuje.

- Moja matka poczuje się wzruszona tą opinią. Pochylił lekko głowę, przyglądając się jej.

• Zachowuje się pani z ogromną rezerwą. Czy traktuje pani w ten sposób tylko mnie, czy wszystkich mężczyzn?

• Odnoszę się tak do wszystkich natrętów.

• Czy wydałem się natrętny, chcąc poznać pani imię? Jesteśmy przecież na przyjęciu.

Staram się po prostu być towarzyski.

Dostrzegła rozbawienie w jego oczach. „Jeżeli w ten sposób okazuje swą towarzyskość — myślała - to jak zachowałby się, próbując nawiązać bardziej intymny kontakt?” Myśl ta wywołała dziwny ucisk gdzieś w głębi żołądka. Courtney odwróciła

wzrok.

- Jeżeli tak zależy panu na kontaktach towarzyskich, powinien pan spędzać czas wśród gości.

- Już to zrobiłem. Chciałbym spędzać go z panią. Skoro aluzje nie poskutkowały, postarała się być bardziej bezpośrednia.

- Nie jestem zainteresowana.

- Przeciwnie. Nie chce pani tego z jakiegoś powodu okazać, ale pani również coś czuje. Zdradzają panią oczy.

• Ma pan rację - powiedziała zduszonym głosem. - Czuję coś. Krańcową irytację. Bardzo dużo spostrzeżeń, jak na tak krótką znajomość.

• Doszedłem do przekonania, że nie ma sensu stać w miejscu i czekać, aż coś się wydarzy. Nie odnosiłbym tylu sukcesów, gdybym sam nie szukał tego, czego pragnę.

Z tych słów wyczytać można było, że teraz ona stała się obiektem jego pragnień. Dziewczyna nie dostrzegła jednak tej aluzji. Chwyciła się szansy zmiany tematu z taką desperacją, z jaką tonący stara się chwycić liny ratunkowej.

• Odnosi więc pan sukcesy w renowacji domów?

• Skąd pani wie, że się tym zajmuję?

• Rozmawiałam z Crystal Blair kilka minut temu. Wspominała, że będzie pan pracował dla Amethyst przy domu na plantacji.

Skinął głową. Oczy mu się zwężyły, gdy przyglądał się jej twarzy.

• Czy powinien mi pochlebiać fakt, że pytała pani o mnie?

• Nie pytałam. Sama powiedziała mi o tym. To różnica.

Dotknął palcem jej policzka.

- Taka malutka uparta bródka. Nie zamierza mi pani okazać więcej życzliwości? - Przeniósł wzrok z oczu Courtney na swój palec, którym gładził jej dolną wargę. - Nic nie szkodzi. Sam jestem nieco uparty. Z pewnością nie znudzimy się sobą.

- Skąd ta pewność, skoro nigdy więcej się nie spotkamy?

Opuścił dłoń, gdy zorientował się, że za chwilę ktoś do nich dołączy.

- Spotkasz mnie, Courtney - wyszeptał i obrócił się do kobiety, która szła w ich kierunku.

Amber stanęła przy nich, uśmiechając się ciepło.

- Och, wspaniale! Zdążyliście się już poznać. Chciałam was sobie przedstawić dużo wcześniej, ale nie było okazji.

Courtney spostrzegła, że Denver zupełnie nie wiedział, jak rozumieć słowa Amber. Zanim zdołał zadać jakiegokolwiek pytanie, zwróciła się do siostry:

- Crystal mówiła mi o świeżo odremontowanej łazience Tyrella. Czy już ją widziałas?

Amber zaśmiała się głośno i dźwięcznie.

• Ten różowy kolor jest zdecydowanie przesłodzony.

• Musiał kupić farbę na wyprzedazy, przecież zieleń jest jego ulubioną barwą. To kolor pieniędzy.

• Wstydz się, Emmy! - skarciła ją Amber. - Wiesz przecież, że Tyrell to miły kociak, naprawdę. Jest twardy tylko przy zawieraniu kontraktów.

Denver przeniósł wzrok z Amber na Courtney.

- Emmy? Powiedziałaś mi, że masz na imię Courtney.

Courtney dostrzegła ślad gniewu w jego oczach i głosie. Myślał, że go okłamała.

Wcale nie. Nie powiedziała mu tylko pierwszego imienia, Emerald. Matka nadała wszystkim dziewczętom imiona pochodzące od drogich kamieni. Courtney rzuciła siostrze milczące spojrzenie, następnie zwróciła się do Denvera:

- Emmy to przezwisko, którym nazywa mnie Amber.

Iskra gniewu znikła, jej miejsce zajęło zdziwienie.

- Widać, że doskonale się znacie. Czy ty również pracujesz w biznesie muzycznym?

-Nie.

Słyszając jej urwaną odpowiedź, uniósł lekko brew.

• Wypowiedź bardzo krótka i niewiele mówiąca.

• Emmy nie lubi dużo mówić o sobie - powiedziała Amber, biorąc Denvera pod ramię. - Ja, przeciwnie, ubóstwiam mówić o sobie, więc chodź ze mną. Mamusia chce pokazać ci kafelki podłogowe w kuchni Tyrella i właśnie posłała mnie po ciebie. - Nachyliła się i pocałowała Courtney w policzek. - Cieszę się, że przyszedłeś na dzisiejszy wieczór.

Courtney uśmiechnęła się.

- Było to dla mnie kolejne doświadczenie. - Obracając wzrok ku Denverowi, napotkała jego zdumione spojrzenie.

Amber zachichotała.

- Założę się, że to prawda. - Odwróciła się i poprowadziła Denvera. - Wiem, że ma to być spotkanie towarzyskie. Mamusia jednak nie chciała przegapić okazji pokazania ci podłogi w kuchni Tyrella, skoro już tu jesteś. Chce znać twoją opinię, czy ten sam typ byłby odpowiedni dla naszego domu na plantacji.

Courtney obserwowała ich przez chwilę, po czym wyszła z salonu. Była ciepła majowa noc. Nie zabrała więc ze sobą płaszcz. Kluczyki do samochodu miała schowane w małej kieszonce spodnicy. Bardzo chciała już stąd wyjść. Po powrocie do domu popływa trochę, potem zabierze się za pracę naukową, a gdy poczuje się zmęczona, położy się spać. I zapomni o mężczyźnie o nazwisku Denver Sierra.

Gdy Denver powrócił do salonu, zaczął szukać wzrokiem owej zagadkowej kobiety, która tak bardzo go urzekła. „Do diabła - pomyślał, nie dostrzegając jej nigdzie. - Wyszła.” Sfrustrowany, zgrzytnął zębami. Przez ostatnie pół godziny starał się dowiedzieć więcej o Courtney Caine od Amber, potem od Amethyst. Gdyby udało mu się odnaleźć Crystal, wyciągnąłby zapewne i od niej jakieś informacje. Zarówno Amber jak i Amethyst odpowiadały w zadziwiająco wymijający sposób, co dodatkowo podsyciło jego ciekawość. Obie kobiety nie były tak powściągliwe przy żadnym innym temacie. Wszystko, co wiedział o Courtney, to jej imię i to, że bardzo mu się podoba. Pragnął jej.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, poczuł się jak po niespodziewanym uderzeniu w żołądek. Za każdym razem, gdy na nią spoglądał, wnętrzości szarpało mu to samo silne pragnienie. W jego życiu były już kobiety o bardziej klasycznej urodzie, bardziej od niej agresywne, często nawet bardziej chętne, żadna jednak nie podziałała na niego tak silnie, jak ona. Po dotknięciu jej musiał wyżyć wszystkie siły, by nie pochwycić jej w ramiona i nie skosztować jej ust. Rozbawiony własną reakcją, zastanawiał się, czy jest możliwe, żeby cierpiał na załamanie, dotykające ludzi w średnim wieku, mając dopiero trzydzieści sześć lat. Z pewnością cierpiał, nie wiedział jednak z jakiego powodu.

Amber dała mu do zrozumienia, że Courtney kryje się ze swym życiem prywatnym. Podobnie jak on. Nie stanowiłoby to problemu. Chciał, by ich związek był prywatny, osobisty, intymny. Przymrużył oczy, obiecując sobie, że ją odnajdzie.

ROZDZIAŁ II

Courtney kichnęła już chyba po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Kurz unosił się w powietrzu, pokrywał obwoluty stojących na półkach książek. Za każdym razem, gdy brała którąś z nich z półki, osiadła na okładce warstwa kurzu wzbijała się w powietrze. Nawet regularne porządki w magazynie nie mogły temu zapobiec. Oświetlenie również nie było najlepsze, a niska temperatura miała chronić przechowywane tu książki. Powietrze było ciężkie, charakterystyczne dla niezbyt często wietrzonych pomieszczeń.

Po spędzonej tu godzinie biała bluzka pod błękitną drelichową kurtką Courtney straciła świeżość. Dziewczyna postawiła kołnierz, by kurz nie przedostawał się na plecy, ale na niewiele to się zdało. Przywilej korzystania z prywatnej biblioteki w Colonial Williamsburg dawał jej tyle radości, że zapominała o wszystkich niewygodach. Zawarte w książkach informacje mogłaby prześledzić, oglądając mikrofilmy, lecz wołała korzystać z oryginalnych materiałów, niż wpatrywać się w mały ekranik w mieszczącej się na górze sali biblioteki.

W jednym końcu pokoju stały dwa ogromne biurka. Courtney ułożyła na nich wszystkie potrzebne do badań książki wraz z torbą z dodatkowymi materiałami. Zrezygnowała z wytarcia drewnianego krzesła, na którym chciała usiąść. Dżinsy i tak były już całe w kurzu, odrobina więcej nie zrobi różnicy. Wyjęła z torby termos z kawą, notatnik i ogromne okulary do czytania. Po przetarciu szkieł podwinęła rękawy i wzięła pierwszą książkę z leżącej przed nią sterty. W świetle nie osłoniętej żarówki wczytywała się w drobny druk, wodząc palcem po spisie treści w poszukiwaniu informacji na temat pracy położnej w osiemnastym wieku.

Zapisała już dwie kartki w notesie i po raz drugi napełniła filiżankę kawą, gdy dobiegły ją odgłosy kroków na schodach. Zmarszczyła czoło na myśl o przerwie w pracy. Niewiele osób schodziło w niedzielę do magazynu biblioteki i był to jeden z powodów, dla których wybrała właśnie ten dzień. Mogła mieć tylko nadzieję, że ktokolwiek to będzie, weźmie czego szuka i zostawi ją samą. Zawijając za ucho spadający na oczy kosmyk włosów, pochyliła się ponownie nad książką i notatkami, starając się zignorować coraz bliższe kroki.

Poderwała głowę na dźwięk zduszonego męskiego śmiechu. Ze skrzyżowanymi ramionami stał przed nią oparty o półkę Denver Sierra. Wyglądał w tej pozycji tak samo, jak tydzień temu w domu Tyrella, opierając się o ścianę salonu. Teraz jednak miał na sobie dżinsy i ciemnozieloną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, co tworzyło nastrój naturalności i luzu. Dostrzegła w jego oczach drapieżny blask, którego nie widziała tamtej nocy.

- Zapomniałaś zostawić pantofelek na schodach, uciekając z przyjęcia, Kopciuszk.
- Odłożyła pióro i wzdychając z rezygnacją, oparła się na krześle.
- Co ty tu robisz?
- Powiedziałem przecież, że jeszcze się spotkamy. Nie wierzyłaś. - Podeszedł do stołu, odsunął stojące naprzeciw niej krzesło, usiadł i wziął do ręki jedną z leżących na stole

książek. - „Narodziny i śmierć w osiemnastym wieku” - przeczytał głośno. - Wesole zagadnienie. - Przyjrzał się innej książce. - Dlaczego wszystkie dotyczą medycyny okresu kolonialnego?

Wzięła książkę z jego rąk.

• To materiały do mojej pracy naukowej. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Skąd się tu wzięła? To prywatna biblioteka.

• Tak też mi powiedziano. - Odchylił się na krześle, nie zważając na ostrzegawcze skrzyknięcie. - Amethyst powiedziała mi, gdzie mógłbym cię znaleźć. Stwierdziła, że powinienem porozmawiać z tobą na temat materiałów, których używano przy budowie domów na plantacjach. Wyobraź sobie, jak bardzo zaskoczyła mnie, odpowiadając na pytanie, które stawałem już od tygodnia: gdzie mogę spotkać Courtney Caine?

Mimo spokojnego tonu jego głosu Courtney wy-

czuła, że jest zdenerwowany. Najwyraźniej szukał jej od tamtego przyjęcia i złościł się, nie mogąc odnaleźć. Mieszkała w Yorktown, a jego firma budowlana mieściła się w Richmond, nic więc dziwnego, że nie wpadli na siebie na ulicy. Mimo wszystko, nie spodziewała się, że będzie starał się z nią spotkać. Zlekceważyła jego prowokacyjne wypowiedzi sprzed tygodnia sądząc, że tak zwykle zachowuje się na przyjęciach. Nie traktowała go poważnie. A może powinna?

Wyciągnęła rękę po filiżankę z kawą, wypila łyk z krępującą świadomością, że każdy jej ruch jest bacznie obserwowany. Postawiła filiżankę i dolała kawy.

- Przyniosłam tylko jedną filiżankę, ale jeśli masz ochotę, to proszę, napij się.

Siedząc wciąż naprzeciw dziewczyny, wziął filiżankę. Zamiast przyłożyć wargi po bliższej mu stronie, obrócił ją i pił z miejsca, którego przed chwilą dotknęły jej usta. Ten pełen namiętności gest sprawił, że zadrżała. Serce zabiło szybciej, gdy powoli wznosząc spojrzenie znad jego warg, dostrzegła płomień w jego oczach.

- Nie - szepnęła, jak gdyby zadał jej jakieś pytanie. Uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- Tak. Możesz uciekać, jak długo zapragniesz, doścignę cię jednak w końcu.

Słyszając te słowa, uśmiechnęła się smutno. Od dzieciństwa nie mogła biegać. Wiedziała, że mówił o ucieczce w sensie przenośnym, nie o bieganiu w znaczeniu dosłownym, zabolęła ją jednak myśl o kalectwie.

• Nie próbuję się przed tobą ukryć - rzekła cicho.

• Więc dlaczego opuściłaś przyjęcie bez słowa? Rozbawiona hardym pytaniem, uśmiechnęła się

delikatnie.

- Najwyraźniej przeoczyłam coś z naszej rozmowy tamtego wieczoru. Zdawało mi się, że jedynie przedstawiliśmy się sobie. Z pewnością pamiętałabym zawarcie jakiegoś długoterminowego zobowiązania. Dlaczego nie powiesz mi po prostu, co moja matka... - Urwała, widząc jego szeroko otwarte ze zdziwienia oczy. - O co chodzi?

Wstał i oparł dłonie na stole, pochylając się w jej kierunku.

- Amethyst Rand jest twoją matką?

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że tego nie wiedział. Choć rzadko pokazywała się ze swoją rodziną publicznie przez ostatnie dwa lata, znajomi Amethyst wiedzieli, kim jest.

- Zapewne wydaje ci się to nieprawdopodobne, ale to prawda. Amethyst Rand jest

moją matką.

Patrzył na nią przez chwilę, potem obszedł stół i stanął przy niej. Dziewczyna uniosła brodę na znak uporczywości czy chęci obrony, tak samo jak wtedy, gdy widział ją po raz pierwszy. Odsuwając notes i książki, usiadł na rogu stołu.

- Niech mnie diabli porwą - mruknął do siebie.
- Oby - dodała z ogromną, jak na nią, zuchwałością. Odchyliła się, jak mogła najdalej, na krześle, czuła się jednak nadal zakłopotana zbytnią bliskością Denvera. - Skoro to już wyjaśnione, jakie informacje mam wyszukać dla mamy?
- Odkryliśmy to całkiem przypadkowo. Chciałbym teraz zapytać, dlaczego ty i twoja rodzina robicie sekrety z waszego związku.

Nie licząc opuszczenia magazynu, co, biorąc pod uwagę wejście po schodach, zabrałoby sporo czasu, nie pozostawało jej nic innego, prócz dania odpowiedzi na pytanie.

• One chcą być powszechnie znane. Ja nie. To ostatnia rzecz, której pragnę. Widziałeś reporterów u Tyrella tamtej nocy. Robili zdjęcia, zadawali pytania. Gdyby wiedzieli, że jestem córką Amethyst, chcieliby wiedzieć, dlaczego nie śpiewam razem z „Klejnociami Południa”. Chcieliby zrobić mi wspólne zdjęcie z rodziną. Mama i siostry chronią mnie, ukrywając moją tożsamość przed prasą.

• Nie wiem, dlaczego wydaje im się, że potrzebujesz ochrony. Całkiem nieźle ukrywasz się bez ich pomocy. Rozmawialiśmy przez dziesięć minut, a wszystko, czego dowiedziałem się o tobie, to twoje imię. - Zamilkł. Rzucając jej zaintrygowane spojrzenie, dodał: - Dlaczego twoja matka i siostry noszą imiona pochodzące od drogich kamieni, a ty nie?

Kiedy się uśmiechała, jej usta przesunęły się lekko w jedną stronę.

- Ja też tak się nazywam. Moje pełne imię i nazwisko to: Emerald Courtney Caine. Oczy błysnęły mu radośnie.

- To wyjaśnia, dlaczego Amber nazywa cię Emmy.
- Obawiam się, że tak.
- Skoro wyznałaś mi już swe największe sekrety, może wyjawisz również, dlaczego robisz tajemnicę z tego, kim jesteś?

Odpowiedziała, podając jeden z powodów:

- Wątpię, czy moi uczniowie traktowałoby mnie poważnie, gdyby zobaczyli fotografię swej nauczycielki historii w ilustrowanym magazynie. Nie potrzebuję takiego rozgłosu.

Nie spuszczać z jej twarzy badawczego spojrzenia, ze zdziwieniem zapytał:

- Jesteś nauczycielką historii? Uniosła głowę.
- Tak. Jakiś problem z tej dziedziny?

- Nie - wycedził, rozbawiony jej charakterystycznym unoszeniem brody. - Z tej dziedziny nie mam problemów.

Bez żadnego ostrzeżenia pochylił się, pochwycił końce jej postawionego kołnierza i zmusił do wstania z krzesła. Gdy zdawała się tracić równowagę, miękким ruchem przeniósł dłoń na jej ramiona, by uchronić ją przed upadkiem. Usłyszał, jak coś ciężkiego uderzyło w nogę krzesła, trzymał ją już

jednak tak blisko, że zaledwie centymetry dzieliły ich usta.

- Nie mam żadnych problemów związanych z tym, czym się zajmujesz - powiedział matowym głosem. - Jedynym moim problemem jest to, jak silnie na mnie działasz. Nie

mogę zmrużyć oka od chwili, gdy cię ujrzałem ostatniej sobotniej nocy. Myśli o smaku twych ust odebrały mi sen. - Objął ją w talii i przyciągnął bliżej. - Czas, bym go poznał.

Gdy dotknął ustami jej ust, ciałem Courtney wstrząsnęło uczucie rozkoszy. Instynktownie rozchyliła wargi w gorącym pragnieniu. Westchnęła, gdy coraz namiętniej całując, Denver unosił ją dalej i dalej w nieznaną krainę zmysłowości. Poczuła silne uda dotykające jej bioder, dłonie wślizgujące się pod kurtkę, by przyciągnąć ją jeszcze bliżej. Tak dawno nie czuła ciepła i siły męskiego ciała. Myślała, że nie powinna pozwolić sobie na tę rozkosz. Po tym, co zrobił jej Philip, dotyk mężczyzny powinien przejmować ją wstrętem. Tak jednak nie było. Nie obawiała się, że Denver może ją zranić, czuła jedynie cudowną rozkosz. Słyszała, jak wstrzymał oddech, gdy przebiegał dłonią po jej plecach. Wyczuła moment, w którym zorientował się, że nosi bluzkę na gołe ciało. Uniósł głowę i spojrzął na nią.

Oddychał ciężko, starając się panować nad sobą. Kiedy oparła dłonie o jego piersi w geście oporu, rozluźnił uścisk, pozwalając jej odsunąć się o krok.

Jeśli nie zrobiłaby tego, nie powstrzymałby się od pociągnięcia jej na blat stołu. Nie pamiętał, by kiedykolwiek pragnął jakiejś kobiety tak bardzo jak Courtney Caine. Dreszcze przeszywały jego wnętrze, choć dziewczyna wcale nie starała się przyciągać jego uwagi. Nie chciał nawet myśleć, jak zareagowałby, gdyby zaczęła go kokietować. Od spotkania tydzień temu żył jakby w półśnie. Myślał ciągle o białej koronce obejmującej jej piersi. „Nie powinienem był jej całować” - myślał ze złością, walcząc z pragnieniem pochwylenia jej znowu w ramiona.

Reakcja na pocałunek była taka, jakiej pragnął. Tym trudniej było mu opanować chęć wzięcia jej już teraz.

- Zjedz ze mną lunch - wyszeptał. - W zatłoczonej restauracji nie będę cię mógł znowu pocałować.

Potrząsnęła głową.

- Nie.

Widząc jej dziwnie nie skoordynowane ruchy, gdy opadła na krzesło, odczuł męską satysfakcję. Nie tylko pod nim zachwiały się nogi po tym pocałunku. Obszedł stół i stanął po drugiej stronie. Spostrzegł, że jej wargi są wciąż wilgotne od pocałunku. Zwinął dłonie w pięści, by nie sięgnąć po nią znowu. Niezrozumiały gniew zmieszany z pożądaniem przeszył jego ciało. Zupełnie bez sensu miał jej za złe, że wywołała w nim ten wybuch uczuć - jakby jego wnętrze ścisnęło olbrzymie imadło, a jedynym schronieniem było wnętrze jej ciała. Nie straciwszy umiejętności racjonalnego myślenia, wiedział, że musi upłynąć wiele czasu, zanim dziewczyna zgodzi się z nim kochać. Powinien uzbroić się w cierpliwość czekając, aż jej pragnienie stanie się równie silne jak jego.

Sięgnął do tylnej kieszeni, wyciągnął złożoną kartkę papieru i podał dziewczynie.

- Co to takiego? - spytała, marszcząc brwi.

- Lista pytań do ciebie dotycząca materiałów konstrukcyjnych, potrzebnych przy budowie domu na plantacji twojej matki. Część materiałów dostaniemy z naszych stałych źródeł, inne jednak będziemy musieli sami przygotować. Gdy Amethyst dowiedziała się, że zbadanie, jakiego typu materiałów potrzebujemy, zabierze mi sporo czasu, poradziła, bym skontaktowałem się z tobą.

Courtney patrzyła na niego przez chwilę. Jak wywnioskowała z wcześniejszych słów, wypytywał o nią matkę i siostry, bez specjalnych jednak rezultatów. Teraz mama zmieniła zdanie i powiedziała mu, gdzie może znaleźć jej córkę. Amethyst musiała ufać

Denverowi, inaczej nie przysłałaby go tutaj. Wydobyć tej informacji z innych źródeł zabrałoby mu znacznie więcej czasu.

Wzięła od niego kartkę i rozłożyła ją. Na górze widniał nagłówek: Firma Budowlana Sierra wykonująca prace na zlecenie, z adresem w Richmond, kilkoma numerami telefonów i imionami Denver Sierra i Phoenix Sierra.

- Phoenix? - spytała.
- To mój brat.
- Denver i Phoenix - powtórzyła.

- Tak, wiem. - Rozbawienie znowu zadźwięczało w jego głosie. - Brzmi to jak nazwy miejscowości na mapie samochodowej. Moja matka urodziła się w Kolorado, a wychowała w Arizonie. Należała do Indian Navaho. Ojciec powiedział mi, że wybrał Denvera i Phoenixa, gdy inne propozycje dane przez mamę ograniczyły się do imion Dziki Wilk i Łagodny Wilk.

Teraz wiedziała już, dlaczego przypominał jej Indianina z obrazu.

- Pozwól mi zgadnąć - powiedziała z uśmiechem. - Ty miałeś być Dzikim Wilkiem?

Denver szukał w jej oczach reakcji na wieść, że jest pół krwi Indianinem. Ale prócz rozbawienia jego imieniem niczego nie znalazł.

- Skąd wiesz? - spytał.
- Strzelałam. Jesteś starszy?
- O dwa lata. Czytasz listę czy chcesz wiedzieć, ile ważyłem jako noworodek?

Spojrzenie, które mu rzuciła, mogłoby odbić tynk ze ściany.

- Matka powinna była cię nazwać Kąśliwy Wilk. Jego śmiech przestraszył ją, ale już po chwili

także uśmiechnęła się. Coś kazało jej odpowiadać

tym samym na jego radość lub groźne spojrzenia. Wystarczyło, aby spojrzał na nią, a od razu czuła, jak bardzo jest męski. By jednak teraz nie dać nic po sobie poznać, spojrzała na trzymany w ręku papier.

Charakter pisma był schludny i łatwy do odczytania. Przebiegła wzrokiem listę zagadnień. Chociaż dotyczyła tylko kilku tematów, zbadanie interesujących go kwestii zabierze trochę czasu. Pod samym hasłem „cegły” kryło się kilka pytań: temperatura wypalania, przepis na przygotowanie mieszanki gliny, piasku i wody, gęstość, wymiary formy. Spojrzała na niego.

- Dlaczego chcesz wiedzieć, jak wyrabiano cegły w osiemnastym wieku? Jest przecież wiele zakładów murarskich w okolicy, które wypełnią każde dane im zamówienie.

- Phoenix chce spróbować wykonać je według osiemnastowiecznych metod. Ilość potrzebna twojej matce jest naprawdę oszałamiająca. Chce odtworzyć wszystkie dodatkowe zabudowania, umieszczone na planie, który dla niej znalazłaś. Mamy jeszcze kilka innych prac do wykonania, zanim zdobędziemy cegły z epoki kolonialnej.

- Jeśli mogłabym zatrzymać listę na jakiś czas, znalazłabym potrzebne ci informacje.

Denver właśnie do tego zamierzał doprowadzić. Nie chciał się z nią rozstawać.

Przynajmniej nie teraz.

- Wskaż mi, co powinienem robić, daj niezbęd-

ne instrukcje, a pomogę ci wybrać odpowiednią literaturę.

- Dziękuję - przerwała mu - wolę jednak pracować sama.

Zignorował jej protest. Powinna przyzwyczać się do jego obecności.

- Zaczę od cegieł. Phoenix chce na początek zbudować piec do ich wypalania.

Zajmij się tym, po co tu przyszedłeś, a ja poszperam w poszukiwaniu potrzebnych nam rzeczy. Gdzie, według ciebie, powinienem szukać?

Courtney westchnęła. Uświadomiła sobie, że próby zawrócenia Denvera Sierry z raz obranej drogi mają taką samą szansę powodzenia, jak osuszenie łyżeczką koryta rzeki James. Wydarła kartkę z notesu i podała mu ją wraz z piórem wyjętym z torby.

- Pisz - powiedziała. Usiadł.

- Tak, madam - szepnął, biorąc pióro w lewą rękę. Patrząc w sufit, jakby stamtąd miały spłynąć informacje, zaczęła dyktować:

- Najpierw Phoenix powinien skontaktować się z Działem Budownictwa Kolonialnego w Colonial Williamsburg. Mają tam piec do wypalania cegieł, któremu mógłby się przyjrzeć. Później należałoby przejrzeć w katalogu hasła: „cegly”, „wytwórcy cegieł”, „ceramika”, „dawne rzemiosło”... - Przerwała, słysząc jego niski głos:

- Nie tak szybko.

Z uśmiechem wyliczała kolejne odnośniki, tym razem już wolniej. Dostarczywszy mu zajęcia na co najmniej godzinę, przysunęła bliżej materiały do własnych badań, Denver natomiast podszedł do katalogu znajdującego się w przeciwnym końcu sali.

Dziewczyna spełniła jego prośbę o pomoc w szukaniu materiałów, Denver Sierra nie zrobił jednak na niej wrażenia człowieka, który mógłby siedzieć godzinami na miejscu i kartkować książki. Był zbyt niespokojny, zbyt energiczny, by zajmować się długotrwałymi badaniami. Miała rację. Po czterdziestu pięciu minutach maszerowania w tę i z powrotem oraz składania wybranych książek na przeciwległym końcu stołu, przy którym siedziała, zaproponował przerwę na lunch.

Nie przerywając czytania, odparła:

- Idź, jeśli chcesz. Ja mam jeszcze dużo pracy.
- Nie zamierzasz zrobić przerwy?
- Może później.
- Nie rozumiem, jak możesz siedzieć tu godzinami i czytać. Sam dostaję już zęza.
- Jestem bardziej odporna - odpowiedziała. - Naprawdę mam dużo do zrobienia,

Denver. Przyniosłam ze sobą kanapkę. Mogę podzielić się z tobą. Idź, proszę, jeśli chcesz. Ja zostaję.

Nie podobało mu się to, zgodził się jednak naj-grzeczniej, jak potrafił.

- Będę z powrotem za godzinę.

Courtney opadła na oparcie krzesła i obserwowała go, gdy odchodził, przeskakując po dwa stopnie z taką łatwością, z jaką robił wszystko, za co się zabrał. Gdyby miała zrobić spis swoich cech, które do niego nie pasowały, musiałaby dodać jego atletyczną, sportową sylwetkę. Biła z niego fizyczna sprawność, poruszał się jak sprężyna, z giętkością, którą przyjemnie było obserwować, gdy przemierzał pokój. Podźwignęła się, wyprostowała i przeszła wzdłuż stołu, uważając na stawiane jeden za drugim kroki. Jej chód był wolny i miarowy, w niczym nie przypominał szybkich, płynnych ruchów Denvera. Gdyby spacerowali razem, musiałby dostosowywać się do jej tempa. Wielu miejsc nie mogłaby z nim odwiedzać, wielu rzeczy nie mogliby razem robić, w końcu zaczęłaby mu przeszkadzać ograniczeniami, które sama знаła aż za dobrze. Tak było z Philipem. Nie mogła dać Denverowi nic oprócz niepotrzebnych kłopotów. Musi jakoś zniechęcić go, gdy będzie zabiegał o kolejne spotkanie. Była pewna, że nosi się z tym zamiarem.

Po kilku rundach wokół stołu usiadła i starała się ponownie skoncentrować. Teraz,

gdy została sama, mogła zastanowić się, dlaczego matka przysłała do niej Denvera. Wydawało się jej, że wie. Mama lubiła go i ufała mu nie tylko w sprawach renowacji domu. Wierzyła, że nie wyrządzi krzywdy jej córce. Zważywszy, jak uważnie strzegła jej przez

ostatnie dwa lata, trzeba przyznać, że poszła teraz na znaczne ustępstwo.

Matka może ufała Denverowi, Courtney była jednak zaniepokojona uczuciem przepełniającym teraz jej serce. Westchnąwszy założyła okulary i wzięła do ręki pióro. Praca naukowa wydała się jej bardziej twórcza niż rozważanie motywów, jakimi kierowała się matka. Albo Denver. Albo też ona sama.

Jedną z zalet historii, która bardzo do niej przemawiała, była niezmienność. Nic nie mogło wpłynąć na to, co już miało miejsce. Przeszłość można analizować, badać, zapamiętywać, nie można jej jednak zmienić. Wiele można nauczyć się, śledząc wydarzenia i zachowania ludzi, którzy żyli przed nami. Obserwacja błędów popełnianych w przeszłości może służyć przykładem, uczy, dlaczego należy odrzucić sądy, które okazały się błędne.

Jej własna przeszłość nie była wolna od pomyłek, których nie chciałaby już nigdy powtórzyć. Powinna pamiętać o Philipie i o tym, co powiedział jej przy rozstaniu.

Podniosła głowę na odgłos kroków w kowbojskich butach i ujrzała, jak Denver schodzi po schodach, pochyliwszy głowę, by nie uderzyć czołem o niski strop. Był tak wysoki, tak obezwładniająco atrakcyjny, elektryzująco męski. Gdy zbliżył się, serce zaczęło jej bić niespokojnie. Powtarzała wciąż w myśli jak słowa magicznego zaklęcia: „Pamiętaj o Philipie, pamiętaj o Philipie, pamiętaj o Philipie”.

Denver trzymał pod pachą białą papierową torbę. Usiadł przy stole i zaczął wypakowywać jej zawartość.

- Nie wiem, czy lubisz meksykańskie potrawy - odezwał się.

Zdjęła opakowanie z jednego z zawiniątek, które położył przed nią i poczuła kuszący aromat taco. Na sam zapach ciekła ślinka. Skosztowała kawałek sera i dalej przyglądała się Denverowi, rozpakowującemu przyniesioną torbę. Wyjął z niej bardzo dużo podobnych, zawiniętych w papier pakunków.

- Mój Boże, ile porcji taco przyniosłeś?
- Dwanaście. Łagodny czy pikantny?
- Co „łagodny czy pikantny”?
- Wolisz łagodny czy pikantny sos do taco?
- Łagodny.

Ponownie sięgnął do torby, wydobyl kilka plastikowych pojemniczków i podał jej jeden z nich.

- Proszę - powiedział, rozpakowując kolejne taco. Odsunęła na bok książki i zabrała się do jedzenia. Ku swojemu zdziwieniu zjadła aż trzy porcje.

Usiadła głęboko w krześle zastanawiając się, czy uda jej się jeszcze kiedyś podnieść. Denver wciąż jadł.

- Czy mogę zadać ci pytanie? Skinął głową.

- Co chcesz wiedzieć?
- Nosisz kowbojskie obuwie, lubisz meksykańskie jedzenie, urodziłeś się w Arizonie, a mieszkasz w Wirginii. Dlaczego?

Rozdarł opakowanie piątego już pakieciku.

- Moi rodzice rozwiedli się, gdy miałem dziesięć lat, a Phoenix osiem. Spędzaliśmy

lato z mamą w rezerwacie w Arizonie, a resztę roku z ojcem, który ma ogromną stadninę koni jakieś sto kilometrów stąd. Miał więcej pieniędzy na nasze wychowanie niż matka, został więc naszym opiekunem. I tak Phoenix i ja osiedliliśmy się na stałe w Wirginii. Ojciec bywał często na wyścigach i aukcjach koni w różnych miejscach na świecie i zostawiał nas samych. Gdy nie jeździliśmy konno, pętaliśmy się przy chłopakach zajmujących się najrozmaitszymi pracami renowacyjnymi na farmie, którą ojciec stale unowocześniał. Zaprzyjaźniliśmy się ze stolarzem, nazywał się Charlie Plumkett. On nauczył nas odczytywać szkice, posługiwać się narzędziami i wykonywać niektóre prace.

- A jak trafiłeś do Richmond?

- Gdy Charlie mógł otworzyć własny interes, zdecydował się specjalizować w renowacji starych budynków. Wtedy też zmarła mama, nie było więc sensu wracać do Arizony. Nie miała żadnej rodziny prócz nas. W Richmond i okolicy powróciła moda na odnawianie starych, pięknych domów. Charlie miał więcej roboty, niż sam mógł wykonać. Pracowaliśmy u niego każdego lata, gdy uczyliśmy się w College of William and Mary, a gdy Charlie odchodził na emeryturę, odkupiliśmy od niego interes.

- Musicie być sobie z bratem bardzo bliscy, skoro pracujecie razem.

Wpatrywał się w jej usta, potem przeniósł wzrok na ciemne oczy dziewczyny.

- Nie wszystko robimy razem. - Oparł ręce na stole. - Dlaczego nie śpiewasz z resztą rodziny? Jak zorientowałem się tamtej nocy na przyjęciu u Tyrella, czujecie się ze sobą dobrze.

- Czujemy się razem nieźle - odparła wymijająco, nie chcąc informować go o swym kalectwie. Skoro nie zamierzała widzieć go więcej, nie powinno to mieć dla niej większego znaczenia. A jednak. Nie chciała zobaczyć w jego oczach spojrzenia Philipa. - Nie jestem stworzona do kariery zawodowej piosenkarki.

Nic nie mówił, tylko patrzył na nią. Wreszcie zapytał:

- Czy zawsze chciałaś zostać nauczycielką? -Nie.

Czekał na wyjaśnienia. Kiedy zorientował się, że Courtney nie zamierza nic więcej dodać, powiedział:

- Jakie więc miałaś plany?

Skrzywiła usta w pełnym kpiny uśmiechu.

- Chciałam być baletnicą. - Nie mógł zrozumieć ukrytej ironii, Courtney nie zamierzała mu jednak

nic tłumaczyć. Odrywając od niego wzrok, podniosła pióro. - Muszę wracać do pracy.

Denver nie wiedział, co mu się w tej odpowiedzi nie podobało, ale dziewczyna demonstracyjnie dawała do zrozumienia, że uważa temat za wyczerpany. „Możliwe, że istotne jest nie to, co powiedziała, ale jak to powiedziała” - pomyślał.

Udało mu się odwrócić od niej swą uwagę i skupić się na cyfrach i informacjach. Po jakiejś godzinie znowu podniósł na nią wzrok. Niecierpliwie przeczesał włosy palcami, odsunął krzesło i przerwał milczenie.

- Kiedy skończysz?

Courtney spojrzała na niego. Zauważyła już wcześniej, że zaczął się niecierpliwić. Najpierw postukiwał piórem, potem zaczął się kręcić na krześle.

- Bibliotekę zamykają o piątej.

- Chcesz siedzieć tu cały dzień? - zdziwił się.

- Możliwe - odparła z rozbawieniem. - Mam bardzo dużo pracy.

• Książka nie zajac. Co byś powiedziała na propozycję skończenia z tym dzisiaj i wyjścia stąd, by zająć się czymś innym?

Uśmiechnęła się.

• Masz już dość?

• Nigdy nie potrafiłem siedzieć zbyt długo na jednym miejscu. Wiem, że obiecałem pomóc, ale dostaję już świra od tej pracy.

„Pamiętaj o Philipie” - powtórzyła w myślach.

- Przykro mi, ale nie mogę.

Ku jej zdziwieniu, nie próbował jej przekonywać.

- Rób więc, co do ciebie należy. Wpadnę wieczorem. Moglibyśmy pójść do restauracji albo pojechać gdzieś. Na co tylko będziesz miała ochotę. Będziesz mi tylko musiała powiedzieć, gdzie mieszkasz.

-Nie.

Przednie nogi jego krzesła stuknęły mocno o podłogę.

• Dlaczego nie?

• Mam inne plany.

• Jakie?

• To są moje plany. Nie muszę cię o nich powiadamiać. - Pochyliła głowę nad książką i zabrała się do robienia notatek. Wyjął pióro z jej ręki.

• Cholera, Courtney, spójrz na mnie!

Powoli unosząc głowę, spełniła jego prośbę. Patrzyła na niego z grzeczną obojętnością.

- Dlaczego nie chcesz wyjść ze mną?

• Powiedziałam już. Mam inne plany. Oczy mu się zwęziły.

• W takim razie może jutro? Potrząsnęła głową.

• Mam inne plany.

- Już to słyszałem. Powtarzasz się. Czy jest ktoś inny?

Byłby to najskuteczniejszy wykręt. Nie skorzystała jednak z niego.

- Jeśli masz na myśli związek z innym mężczyzną, odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam wiązać się z nikim, z tobą również. Zostawmy to. Postaram się zebrać wszystkie potrzebne ci dane w ciągu kilku dni. Nie ma powodów, abyśmy mieli się jeszcze kiedyś spotkać.

Wstał, obszedł stół i nim zdążyła się zorientować, poderwał ją z krzesła. Uścisk był silny, ale nie bolesny. Trzymał ją przed sobą z twarzą zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

- Są inne powody, dla których powinnaś się ze mną spotkać. - Pochylił głowę. - Oto jeden z nich.

Courtney, spodziewając się raczej złości, była zaskoczona eksplozją napiętności, która rozpałała jej ciało, gdy usta Denvera dotknęły jej ust. Dotyk warg był cudownie zmysłowy, rozgrzewał krew i rozpałał skórę. Denver muskał dłońmi jej plecy, całując coraz napiętniej. Courtney nie mogła zdławić wyrywającego się z piersi westchnienia rozkoszy. Przez chwilę poddawała się pragnieniom ciała, ulegając jego brutalnej sile i rozkoszując się urywanym, przyspieszonym rytmem oddechu. Objął jej biodra, przytulając mocniej do swoich. Pocierał delikatnie całym jej ciałem o własne, aż oddech obojga stał się głęboki i ciężki.

Uniósł wargi nad jej ust i zatopił w bieli szyi. Rozkoszował się piekącą przyjemnością jeszcze przez kilka sekund, po czym puścił ją, odsuwając od siebie.

Jeszcze bardziej niż wtedy, gdy chciał rzucić ją na zakurzony, pokryty książkami blat stołu, pragnął teraz, by otoczyła go swym wilgotnym ciałem. Z satysfakcją dostrzegł płonąca w jej oczach namiętność. Chciał mieć pewność, że będzie częściej patrzyła na niego w ten sposób.

- Powiedz mi teraz, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

Courtney otworzyła usta, nie powiedziała jednak ani słowa. Jej oczy były wielkie ze zdziwienia. Stała, zaszokowana własną reakcją, własną słabością i pożądanym, do którego nie chciała się przyznać. Zdobyła się jedynie na lekki, przeczący ruch głową.

Nieoczekiwana fala łagodności zalała serce Denvera, uśmiechnął się.

- Nic nie szkodzi. Już dostałem odpowiedź. Zajmij się tym, co do ciebie należy, a ja też zrobię, co powinienem.

Mogła tylko patrzeć, gdy opuszczał głowę, by szybko ją pocałować. W oszołomieniu patrzyła, jak odchodził, przeskakując po dwa stopnie.

Opadła na krzesło. Wzięła głęboki, uspokajający oddech. Wszystko na nic. Denver Sierra był jak skrzynia fajerków, wybuchająca ciepłą barwą, falą gorącą i pozostawiającą po sobie burzę niezapomnianych, szalonych wspomnień.

ROZDZIAŁ III

W ciągu pięciu dni Courtney zdobyła wszystkie potrzebne Denverowi informacje, a przez następne trzy zbierała się w sobie, by do niego zadzwonić. W przerwie obiadowej skorzystała z telefonu w pokoju nauczycielskim w nadziei zastania go w biurze. Charakterystyczny południowy akcent kobiety, która odebrała telefon, przypominał coś z atmosfery „Przeminęło z wiatrem”.

- Mówi Courtney Caine. Chciałabym rozmawiać z panem Denverem Sierrą, jeśli nie jest teraz zajęty.

Po krótkiej chwili kobiecy głos odpowiedział:

- Cóż za zbieg okoliczności. On właśnie przed chwilą mówił o pani.

Nie wiedząc, jak zareagować, Courtney spytała:

- Czy jest gdzieś w pobliżu?

- Słoneczko, Denver od samego rana skacze z miejsca na miejsce jak pchła po psiej budzie. Proszę chwilę poczekać, postaram się go znaleźć.

Zaskoczona odpowiedzią kobiety, Courtney ze zdziwieniem popatrzyła na trzymaną w dłoni słuchawkę. Przynęła ją z powrotem do ucha na dźwięk męskiego głosu, wypowiadającego jej imię.

- Denver?

- Przepraszam, Courtney. Mówi Phoenix, brat Denvera. Belle wciąż go jeszcze szuka. Był tu przed chwilą, nie mógł więc daleko odejść. Nie chciałem, byś czekała na niego przy telefonie myśląc, że o tobie zapomniał. Mamy zamiar zamontować specjalne urządzenie, grające melodyjki dla czekających, ale tym razem ja je zastąpię. Mogę ci coś zaśpiewać, jeśli masz ochotę.

Powstrzymała się przed głośnym parsknięciem śmiechem.

- Dziękuję. Przeżyję jakoś i bez tego. Gdybyś mógł przekazać wiadomość Denverowi. Prosił, by zdobyć dla niego pewne dane dotyczące plantacji w Mallory. Powiedz, że je dla niego...

- Czy dowiedziałaś się, jak wyrabiano cegły? „Najwyraźniej przerywanie innym jest ich cechą rodzinną” - pomyślała.

- Tak. Zebrałam wszystkie dane na ten temat. Włącznie z planami prac murarskich z roku 1780. Będę wdzięczna, jeśli przekażesz mu, że wyślę je pocztą.

- Nie sądzę, aby to był najlepszy pomysł, Courtney. Brat będzie chciał się z tobą zobaczyć. Może podrzuciłabyś mu je do biura? Mógłbym cię wtedy zobaczyć. Bardzo chcę poznać kobietę, która doprowadza mojego brata do szaleństwa.

Usłyszała jakieś głuchoe dźwięki w tle, po czym w słuchawce zabrzmiał głos Phoenixa:

- Oto nadchodzi nasza wspólna Chmura Burzowa. Miło było mi rozmawiać z panią, panno Courtney. Ja... - Tym razem Phoenixowi przerwano w pół zdania. Usłyszała znajomy głos Denvera:

- Courtney?

Serce przyspieszyło rytm na dźwięk jego głosu.

• Tak. - Słyszała w tle głos Phoenixa i kobiety, ale nie rozróżniała słów, mówili bowiem równocześnie. Nie mogła się nie uśmiechnąć, słysząc wymamrotane przez Denvera przekleństwo.

• Phoenix i Belle chcą, byś przyszła tutaj, ale ja nie chcę jeszcze pokazywać im ciebie. Wolą trzymać się tematu.

- Mam informacje potrzebne ci przy renowacji budynku dla mamy. Wyślę je dziś pocztą. Powinieneś dostać je jutro lub za dwa dni.

Do głosów w tle dołączył się jeszcze dzwoniący telefon, potęgując zamieszanie. Głos Denvera zdradzał, że niewiele potrzeba, by jego cierpliwość się wyczerpała.

- Nie wysyłaj. Przyjdę po nie jeszcze dziś. - Na jego głos nakładały się słowa brata i kobiety, która była najprawdopodobniej sekretarką. Ich protesty brzmiały coraz głośniejsze. Usłyszała syk Denvera: -Belle, odbierz ten cholerny telefon! - Sekundę później wrzasnął: - Niech cię diabli, Phoenix, znowu przykleiłeś moją filiżankę do biurka! - Głos Denvera zabrzmiał wyraźniej, gdy ponownie przysunął słuchawkę do ust. - Muszę iść, Courtney.

Miejsce to jest dziś jeszcze bardziej podobne do domu wariatów niż zwykle. Zobaczymy się później.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale usłyszała sygnał kończący rozmowę. Marszcząc brwi, odłożyła słuchawkę. Już miała oddzwonić z oświadczeniem, że i tak wyśle mu materiały pocztą, gdy dzwonek oznajmił początek lekcji. „Może to i lepiej, że nie mam czasu zadzwonić” - pomyślała, biorąc szarą kopertę z informacjami dla Denvera. Raz już odłożyła słuchawkę, nie pozwalając jej skończyć. Nie zamierzała dać mu drugiej takiej okazji.

Jeśli odebrałaby Belle lub Phoenix, biorąc pod uwagę ich dziwny sposób traktowania jej, wątpliwe jest, by po prostu przekazali Denverowi wiadomość.

Przez całe popołudnie wydawało się jej, że może ujrzeć Denvera wchodzącego do klasy. Pojawianie się w najmniej oczekiwanym momencie było w jego stylu. Westchnęła z ulgą, słysząc dzwonek kończący lekcje. Był to jeden z tych dni, gdy uczniowie zachowują się wyjątkowo niespokojnie, bez względu na to, jakby się nie starała skupić ich uwagę. Tylko trzy dni dzieliły ich od końca roku szkolnego. Wszyscy myśleli już o wakacjach i powtórkach przed końcowymi egzaminami, wyznaczonymi na następny dzień. Daty i fakty dotyczące najróżniejszych bitew Wojny Domowej przegrywały w rywalizacji z pokusami nadchodzących dni letniego lenistwa.

Wyjęła torebkę z szuflady biurka i zamknęła je na klucz. Testy egzaminacyjne wraz z pracami klasowymi zostały złożone w sejfie dyrektora szkoły. Po kilku „pożyczeniach” przez uczniów testów znalezionych w biurkach nauczycieli dyrektor zarządził, by wszystkie materiały egzaminacyjne leżały w jego gabinecie. Courtney dopiero rano zabierze je stamtąd i rozda pojękującym uczniom.

Gdy robiła porządek na biurku, wzrok jej padł na szarą kopertę zaadresowaną do Denvera. Była gotowa do wysłania, brakowało tylko znaczka. Planowała wrzucić ją do skrzynki na pocztę w drodze do domu, było już jednak zbyt późno. Starła się przypomnieć sobie, czy ma w domu wystarczającą ilość znaczków dla takiej przesyłki. Wydawało się to jednak mało prawdopodobne. Denver nie znał jej adresu, co nie znaczy wcale, że go nie zdobędzie. Wszystko, co mogła zrobić, to zadzwonić do matki. Matka jednak zechciałaby poznać powody, dla których Courtney nie życzy sobie widzieć De-

Denvera. Doprowadziłoby to do dyskusji, której Courtney wolała nie wywoływać. Zrezygnowana, pogodziła się więc z myślą o ewentualnej wizycie Denvera i wrzuciła kopertę do torby.

Stojąc przy samochodzie, nie zauważyła nic niezwykłego aż do momentu, gdy w poszukiwaniu kluczyków, wyciągnęła i odłożyła na bok kosmetyczkę. Biały, zwinięty kawałek papieru wetknięto za wycieraczkę naprzeciw siedzenia kierowcy. Przechylając się wyciągnęła go stamtąd i rozwinęła. Na kartce ze szkolnego zeszytu w linię ktoś napisał: „jeśli nie dasz łatwego testu obżydze ci twój rzywot”. Mimo błędów ortograficznych zrozumiała przesłanie. Rozejrzała się, nie dostrzegła jednak nikogo, kto by ją obserwował. Kilku nauczycieli szło do swoich samochodów, woźny wyrzucał śmieci, nikt nie patrzył w jej stronę.

Złożyła anonim i włożyła go do kosmetyczki. Jazda do domu zabrała jej dwa razy więcej czasu niż zwykle w związku z wypadkiem, który spowodował korek na drodze. Gorące promienie słońca padały na przednią szybę, gdy posuwała się powoli w kolumnie aut. Klimatyzacja chroniła przed upałem, ale nie przed rosnącym zniecierpliwieniem. W końcu skręciła w cichą uliczkę, przy której stał jej nowoczesny dom z wyłożonymi cedrem ścianami i oszklonym dachem, umożliwiającym dopływ dziennego światła do pokoi.

Ojciec kupił jej to jednopiętrowe mieszkanie, gdy skończyła szkołę. Wolałaby żyć znacznie skromniej, nie miała jednak serca zranić ojca, gdy sprezentował jej ten dom. Randall Caine podarował go jako wyraz miłości do dorastającej córki, tak rzadko widywanej przez niego, i związanej z tym poczucia winy. Okazało się później, że duży metraż zostanie wykorzystany, matka nalegała bowiem,

by Courtney zamieszkała z pokojówką. Amethyst rzadko mieszała się do spraw Courtney, jeśli jednak już to robiła, nie było sposobu, by ją od tego odwieść. Bardzo pragnąca niezależności Courtney musiała pójść na ustępstwo i zamieszkać razem z Bronwyn MacNider. Nie było to specjalnie uciążliwe. Brownie, jak wszyscy ją nazywali, utrzymywała porządek w domu, gotowała proste posiłki i była miłym kompanem. Pokojówka nigdy nie traktowała dorastającej Courtney inaczej niż reszty dziewcząt, nigdy nie dała jej odczuć, że otacza ją specjalną opieką ze względu na kalectwo.

Courtney skręciła na podjazd przed domem, nacisnęła przycisk zdalnego otwierania drzwi garażu i zaparkowała swego czteroletniego sedana. Z torbą w jednej ręce i torebką na ramieniu otworzyła drzwi prowadzące z garażu do pomieszczenia gospodarczego przy kuchni. Brownie zbierała właśnie rzeczy z suszarki i zadała jej pytanie, które zadawała zawsze, gdy dziewczyna wracała do domu:

- Jak minął dzień?
- W porządku, jeśli nie brać pod uwagę, że uczniowie odliczają już godziny dzielące ich od wakacji. Ostatnią rzeczą, o jakiej mają ochotę myśleć, są jutrzejsze egzaminy końcowe.

Odgarniając pasmo włosów, które wysunęło się z koczka upiętego na wysokości szyi, starsza pani uśmiechnęła się.

- Siła młodości jest cudowną rzeczą.
- Powiedziałabym to samo o umiejętności skupienia uwagi podczas lekcji. Nie mogę ich jednak tak naprawdę ganić. Sama czekam z niecierpliwością na wakacje.

Brownie strzepnęła rozwieszzone na samym szczycie suszarki prześcieradło i oparła ręce na obfitych biodrach.

- Doprawdy, nie wiem dlaczego. Na całe wakacje zakopiesz się w książkach,

przygotowując tę twoją pracę naukową. Nie mogę pojąć, dlaczego cały czas poświęcasz na studia. Masz już kilka stopni naukowych. Teraz zebrało ci się na zdobywanie kolejnego. - Sięgając po następne prześcieradło, mruknęła: - Potrzebny ci mąż i dom pełen dzieci, a nie kolejny dyplom.

- Powtarzasz to nam wszystkim od czasu, gdy wyrosłyśmy z naszych pierwszych staników, Brownie.

- Do niczego to jednak nie doprowadziło. Żadna z was nie chce się jeszcze ustatkować.

Courtney zbierała się do wyjścia.

- Będę na basenie, Brownie. - Zatrzymując się na progu, dodała: - Mam nadzieję, że nie zawracałaś sobie zbytnio głowy obiadem. Raczej nie jestem głodna.

Gospościa rzuciła ostre spojrzenie na zmęczoną sylwetkę dziewczyny. Troska sprawiła, że jej głos zabrzmiał chłodniej, niż chciała.

- Pracujesz zdecydowanie za wiele, Courtney, a jesz mniej niż wróbelek.

-W rzeczywistości wróbelek je dużo więcej, niż się ludziom wydaje.

- Nauczyciele myślą, że zjedli wszystkie rozumy. - Brownie zrobiła niecierpliwy ruch ręką. -Idź się trochę poruszać, a ja przygotuję ci sałatkę.

- Dziękuję.

Courtney nie była aż tak zmęczona, by nie zauważyć, że gospościa stara się jak najmniej poruszać głową, jak gdyby bała się, że może jej za chwilę odlecieć.

- Znowu boli cię głowa, prawda?

- Troszeczkę - mruknęła Brownie.

- Połóż się lepiej i odpocznij. Daj sobie spokój z tą sałatką. Sama sobie coś później zrobię.

- Nie wygłupiaj się. Czuję się świetnie. Courtney nie wierzyła jej. Wiedziała jednak, że

nie ma sensu przekonywać Brownie, by odpoczęła. Próbowwała kilka razy namówić ją na wizytę u lekarza, bez rezultatu. Musi wymyślić coś innego.

Przechodząc przez salon, wyjrzała przez oszklone drzwi prowadzące na basen. Beau dreptał w tę i z powrotem po krytym patio. Pies eskimoski miał jakieś osobliwe poczucie czasu. Zawsze wiedział, kiedy powinna wrócić do domu. Dostała go w podarunku od Amber i Crystal, gdy wprowadziła się tu. Był nie tylko groźnym stróżem domu. Kiedy wyrósł z obgryzania wszystkiego, co znalazło się

w zasięgu pyska, nauczył się przynosić potrzebne jej przedmioty.

Courtney zrzuciła ubranie, włożyła błękitno-zie-lone bikini, a na wierzch narzuciła obszerną bluzę. Ręczniki, kosmetyki i inne potrzebne przy korzystaniu z basenu rzeczy trzymano w małym pomieszczeniu przy patio, nie musiała więc niczego ze sobą zabierać. Beau, jak zawsze, powitał ją z rozpromienionymi oczami. Od kiedy go miała, nie zdarzyło się, by pies ku niej skoczył. Jakby wiedział, że mogłoby ją to wytrącić z równowagi. Pozwalał sobie natomiast na takie błazeństwa przy Brownie, która tolerowała psa ze względu na Courtney.

Beau towarzyszył dziewczynie idącej wolniutko w kierunku basenu. Gdy odpinała zapięcie usztywnienia na nodze, siadł przy niej z wywalonym różowym językiem, dysząc ciężko od upału wczesnego letniego wieczoru. Courtney odłożyła obręcz, nakrywając ją bluzą. Beau podniósł się i przysunął się do niej, by mogła wesprzeć się na nim, idąc w

kierunku basenu. Courtney poklepała go w nagrodę po pysku, przeniosła ciężar ciała na zdrową nogę, wzięła głęboki oddech i skoczyła do wody.

Woda muskała skórę jak chłodny atlas. Dziewczyna wypłynęła na powierzchnię, rozpoczynając codzienny trening. Gdy płynęła piąty odcinek, zobaczyła stojącą przy płytszym końcu basenu Brownie. Strząsając wodę z powiek, Courtney zdziwiła 60 się na widok zasępionej miny gosposi, zwykle tak pogodnej.

- O co chodzi, Brownie?

- Jakiś mężczyzna do ciebie. Mówi, że czekasz na niego. Nie powiedziałaś, że ktoś ma cię dziś odwiedzić, kazałam mu więc czekać w salonie, a sama przysłałam ci o tym powiedzieć.

Courtney nie musiała pytać o nazwisko przybysza. Mogła to być tylko jedna osoba, Denver Sierra.

- W mojej torbie znajdziesz dużą szarą kopertę. Daj mu ją. Przyszedł właśnie po nią. Nagle sierść na karku psa zjeżyła się i Beau zawarczał.

- Nie tylko po to tu przyszedłem - dobiegł ich męski głos zza pleców Brownie.

Podchodząc powoli do psa, który stanął pomiędzy nim a Courtney, Denver wyciągnął ręką. By wydać się mniej groźnym, zgiął kolana i przykucnął w pozycji niezbyt bezpiecznej, gdyby pies zdecydował się na atak.

- Proszę - szepnął łagodnym, uspokajającym tonem. - Przyzwyczajaj się do mojego zapachu. Nie zrobię krzywdy twojej pani. Musisz mi zaufać, tak samo jak ona.

Obwąchawszy dokładnie wyciągniętą dłoń, pies uspokoił się nieco, stał jednak nadal pomiędzy Courtney a Denverem. Podobnie jak Brownie. Courtney zrezygnowała z dalszego wzbraniania się przed spotkaniem.

- W porządku, Brownie. Pan Sierra jest przedsiębiorcą budowlanym wynajętym przez mamę. Zajmuje się pracami renowacyjnymi na plantacji. Denver, to jest Bronwyn MacNider.

Podnosząc się Denver wyciągnął dłoń.

- Bardzo mi przyjemnie poznać panią. Brownie, wciąż jeszcze zasępiona, wymieniła uprzejmości.

-Brownie - zwróciła się do niej Courtney. - Czy mogłabyś przynieść z mojego pokoju tę kopertę? Pan Sierra znajdzie w niej potrzebne mu materiały.

Rzuciwszy Denverowi przeciągłe, podejrzliwe spojrzenie, Brownie przeniosła wzrok na Courtney.

- Zostawię otwarte drzwi w razie, gdybym była potrzebna.

Kryjąc uśmiech, Courtney powiedziała.

- Wszystko w porządku, Brownie.

Po kolejnym ostrym spojrzeniu w kierunku Denvera Brownie wróciła do domu, demonstracyjnie zostawiając uchylone drzwi. Zaprzyjaźniony się z psem, Denver położył dłoń na łbie zwierzęcia i przyglądał się stojącej w basenie kobiecie. Woda sięgająca żeber zniekształcała obraz dolnej części jej ciała, mógł jednak dostrzec nagą skórę pomiędzy błyszczącym materiałem okrywającym piersi i trójkątnym skrawkiem poniżej. Zaciśnął palce na sierści psa, czując w ciele bolesne napięcie. Jego dłonie pragnęły dotyku gładkiej skóry dziewczyny, chciał czuć kształty jej sylwetki. Zazdrościł wo-

dzie, mogącej pieścić jej ciało. Starając się myśleć o czym innym niż zrzucenie ubrania i skok do basenu, by znaleźć się przy niej, rzekł:

- Widzę, że nie muszę martwić się o twoje bezpieczeństwo. Chroni cię tu cały zespół.

Uśmiechnęła się.

- Brownie to przyjaciel rodziny.
- Mieszka razem z tobą?
- Tak. Dba, żeby dom nie zamienił się w wysypisko śmieci i przygotowuje większość posiłków.

Courtney widziała, jak Denver, rozglądając się wokół, omiata wzrokiem basen i dom. Jako doświadczony przedsiębiorca budowlany, mógł dokładnie wycenić jej posiadłość. Nie on pierwszy zdziwił się zapewne, jak przy nauczycielskiej pensji dziewczyna może pozwolić sobie na tak kosztowne mieszkanie. Wiedząc, kim jest dla niej Amethyst, mógł pomyśleć, że to matka kupiła jej ten dom.

- To dom mojego ojca. - Nie wiadomo dlaczego czuła potrzebę wyjaśnienia.
- Nie pytałem o to.
- Pytałeś. Tylko nie na głos. Rzadko spotyka się nauczycielki mieszkające w tak ogromnych domach z basenem i trzymające pokojówkę. Byłoby dziwne, gdyby cię to nie zastanowiło.

- Rzadko spotyka się nauczycielki będące córkami gwiazd estrady.

- Zgoda, jednak to mój ojciec kupił ten dom, nie matka.

Przechylił głowę, uważnie się jej przyglądając.

- Trudno sobie wyobrazić, że jesteś córką Ran-dalla Caine'a. Słyszałem, że jada on ślimaki na śniadanie, a nad interesami nie zastanawia się bardziej niż nad pstryknięciem palcami.

• Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co podaje prasa. W pewnym magazynie napisano, że moja mama miała sześciu mężów. W rzeczywistości wyszła za mąż trzy razy. A skoro mówimy o mojej matce, czy nie mam racji domyślając się, że to ona dała ci mój adres?

- Masz rację. Nawet wskazała mi drogę.

Courtney zirytowało nie tylko zachowanie mamy, beztrąsko udzielającej informacji na temat miejsca jej pobytu. Miała inny problem. Nie mogła wечно stać w basenie. Słońce skryło się za groźnymi deszczem chmurami i zrobiło się bardzo zimno. Dalsze stanie w wodzie wydawałoby się cokolwiek dziwne, nie chciała jednak właśnie teraz pokazywać mu swego kalectwa. Zdecydowała się przeciągnąć rozmowę tak długo, jak to będzie możliwe.

- Nie musiałeś przychodzić tutaj. Powiedziałam, że wyślę ci materiały pocztą.

Głaskał sierść psa, nie spuszczając oczu z dziewczyny.

- Nie przyszedłem z obowiązku. Chciałem cię zobaczyć.

• Denver... - zaczęła z wahaniem. - Sądzę, że nie powinniśmy nawiązywać bliższej znajomości.

„Jest już zbyt późno na takie ostrzeżenia” - pomyślał. Dwoma krokami przemierzył przestrzeń dzielącą go od krawędzi basenu. Pochylił się ku niej.

- Dlaczego?

Starła się znaleźć przekonujące tłumaczenie.

- Zbyt wiele nas dzieli.

Skrzywił usta w uśmiechu i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź do mnie, a pokażę ci, jak wiele nas łączy. Grom przetoczył się po

pociemniałym niebie.

Spojrzała w górę.

- Zbiera się na deszcz. Może wejdiesz do domu? Przyjdę za chwilę do ciebie.

Wciąż stał z wyciągniętą do niej ręką.

- Czy mamusia nie mówiła ci, że niebezpiecznie jest przebywać w wodzie podczas burzy?

Krople deszczu zaczęły tworzyć kółka na powierzchni wody. Ciężkie uderzenie gromu przecięło powietrze. Poddając się podeszła do skraju basenu. Ignorując ofiarowaną pomoc, wyskoczyła z wody i usiadła na brzegu.

- Beau - powiedziała, patrząc na psa. - Przynies! Pies przyniósł najpierw bluzę, położył ją na betonie koło siedzącej, potem wrócił po obręcz. Czu-

ła na sobie wzrok Denvera, gdy wkładała but z długą cholewką i przymocowaną do niego metalową klamrą; powoli zapinała na nodze podtrzymujące ją paski. Deszcz padał coraz mocniej. Mijały sekundy. Denver nie zrobił jednak najmniejszego ruchu w kierunku domu. Stał dwa, trzy metry od niej, nie proponując pomocy. Patrzył, jak opiera dłoń na grzbiecie psa i wolno podnosi się.

Courtney nie zdziwiłaby się, gdyby chwycił ją i zaniósł do domu. Nie zrobił jednak tego. Stał nieruchomo w deszczu, wpatrując się w nią. Chciałaby wiedzieć, o czym myśli. Jego twarz wyglądała jak wycięta z kamienia. Z psem przy boku zaczęła iść powolutku w kierunku domu. Denver dopasował się do jej kroku, nie popędzając jej ani nie próbując w żaden sposób pomóc. Doszła do pomieszczenia przy krytym patio, otworzyła drzwiczki i wyciągnęła kilka złożonych ręczników. Podała mu jeden, potem zaczęła wycierać ramiona, twarz, włosy. Zdjęła przemoczoną bluzę i owinęła się frotowym szlafrokiem. Myśląc tylko o podwijanych kilka razy rękawach, marzyła, by Denver powiedział coś, cokolwiek, przerywając narastające między nimi napięcie. Drugim ręcznikiem wytarła sierść Beau, starając się wycisnąć z niej jak najwięcej wody. Idąc w stronę domu, nie musiała kazać Beau czekać. Wielki pies usiadł przy wejściu, obserwując wchodzącego za nią Denvera.

Courtney zawiązała pasek przy szlafroku i weszła do przedpokoju, odczuwając swe utykanie bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Zatrzymując się w pobliżu drzwi, podniosła szarą kopertę, którą Brownie położyła na stole. Była gotowa spojrzeć na stojącego za jej plecami mężczyznę. Wstrzymała oddech, gdy podnosząc wzrok, dostrzegła w jego oczach płonąca szaloną moc.

- Proszę - powiedziała cicho, podając mu kopertę. - Masz tu to, po co przyszedłeś.

Wziął kopertę z jej rąk i odrzucił z powrotem na stół.

• Nie wyjdę, zanim nie porozmawiamy.

• Denver, jestem przemoczona. Ty również. I...

- Nie raz byłem przemoczony. I to też nie jest pewnie ostatni przypadek. Idź przebrać się w suche rzeczy.

-A ty?

- Jeśli nie masz nic w moim rozmiarze, zostanę w tym, co mam na sobie. - Przeczesał niecierpliwym gestem mokre włosy. - Idź się przebrać, Courtney. Nie zamierzam odejść.

Zrobiła, jak kazał. W swoim pokoju zrzuciła mokry kostium, włożyła suchą bieliznę, brązowe spodnie i biały wełniany sweter. W łazience osuszyła ręcznikiem włosy, przeczesała je grzebieniem i spięła klamrą na wysokości szyi.

Gdy weszła do pokoju, Denver stał oparty o przeciwległą ścianę i czekał na nią. Zdjął mokrą koszulę. Widok jego nagiej klatki piersiowej prze-

szył jej ciało dreszczem. Nad opinającymi jego biodra džinsami zobaczyła odsłonięty pas śniadej skóry pokrytej pojedynczymi ciemnymi, kręconymi włosami.

- Twoja przyjaciółka zabrała moją koszulę do suszenia. Odradziłem jej zabranie również džinsów.

Odepchnął się od ściany, wziął ją pod ramię i wprowadził do salonu. Tak jak poprzednio, dopasował się do jej kroków, aż doszli na miejsce. Puścił jej ramię, odszedł o kilka kroków i zaczął przypatrywać się jej pełnym pasji wzrokiem.

ROZDZIAŁ IV

- Teraz już wiem, dlaczego twoja matka chce, by zamontować w jej domu windę - powiedział cichym, ale mocnym głosem. - Zamówienie to wydało mi się dziwaczne zważywszy, że cała reszta ma być utrzymana w autentycznym osiemnastowiecznym stylu. - Patrzył na nią przez chwilę, po czym wyszeptał: - Nie chce mi się w to wierzyć.

Nie spodziewała się takich słów. Nie dostrzegła również w jego oczach litości, której mogła oczekiwać. Może złość i niedowierzanie, ale ani śladu współczucia, gdy na nią patrzył.

• Będziesz musiał uwierzyć - powiedziała. - Ta kłamra na mojej nodze to nie modna ozdoba.

• Nie to mam na myśli. Trudno mi uwierzyć, że uważałaś za konieczne ukrywanie jej. - Przerwał, by po chwili spytać obojętnym tonem: - Dlaczego musisz ją nosić?

Courtney słyszała to pytanie może ze sto razy, nikt jednak nie zadał go w ten sposób. W głosie i wyrazie jego twarzy nie było cienia chorobliwej ciekawości ani skrywanej odrazy. Zwyczajnie chciał wiedzieć. Powiedziała mu prawdę.

- Urodziłam się ze zniekształconą stopą. Przeszłam wiele operacji, nic jednak nie dało się zrobić z kostką i częścią niedorozwiniętych mięśni łydki.

Bez obręczy na nodze mogę zrobić zaledwie kilka kroków, na więcej nie pozwala mi kostka. Denver podszedł do wielkiego okna i wyjrzał.

- Naprawdę myślałaś, że to coś zmienia? - powiedział. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do niej i dodał: - Znasz mnie od niedawna, Courtney, spodziewałem się jednak, że zdążyłaś lepiej mnie już poznać.

Zdziwiła ją myśl, że mogła tym zranić jego uczucia.

- Z reguły nie ogłaszam wszystkim spotkanym nieznajomym, że noszę na nodze usztywnienie.

Oczy zwęziły mu się.

• Nie jestem nieznajomym, który dopiero co przyszedł - powiedział z naciskiem. - Tamtej nocy u Tyrella pokazałem, że interesuję się tobą. - Zabolało go, że nazwała go nieznajomym, skupił się jednak na głównej myśli. - Nie robi mi różnicy, czy nosisz obręcz, czy też nie.

• Może tak ci się wydaje, ale w przyszłości zmienisz zdanie.

Drażnił go sceptyczny ton jej głosu.

• Powiniennem w takim razie zapytać, czy nie przeszkadza ci, że jestem spokrewniony z Indianami. Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

• Oczywiście, że nie - powiedziała z naciskiem.

• Więc jakie znaczenie ma mieć dla mnie fakt, że nosisz kilka metalowych prętów i skórzanych pasków na nodze? Ja jestem pół-Indianinem, ty masz na nodze

usztynienie, są to rzeczy, które to- warzyszają nam od urodzenia i nie zależą od naszej woli.

- To nie to samo. Twoje pochodzenie nie przeszkadza w codziennym życiu. Ja nie mogę robić mnóstwa rzeczy, które innym wydają się naturalne. Kilka minut temu specjalnie zwolniłem kroku, by wejść razem ze mną do domu. Nie możesz sobie wyobrazić, jak często musiałbyś dostosowywać się do moich możliwości, gdybyśmy poszli gdzieś razem. Gra w tenisa, jak i większość innych sportów, zupełnie odpada. Zwyczajny spacer w parku zabrałby dwa razy więcej czasu. Jesteś bardzo energicznym mężczyzną, Denver. Powstrzymałabym cię przed robieniem tego, co lubisz i w końcu miałbyś tego dosyć.

Przyglądał się uważnie jej zadartej brodzie i wyzywającemu blaskowi w oczach. Broniła się jeszcze zaciekłej niż tej nocy, gdy ją spotkał po raz pierwszy. Musiał być jakiś poważniejszy powód jej zachowania niż ten, który mu podała. Miał niejasne przeczucie, o co chodzi.

- Kim on był? - spytał, pragnąc wiedzieć, za czyje grzechy musi cierpieć.

-Kto?

- Ten głupek, który ci wmówił, że klamra na nodze czyni cię niepełnowartościową kobietą. Kim on był?

Milczała chwilę.

- To nie ma znaczenia, kim był - powiedziała

cicho, nieświadomie potwierdzając przypuszczenia Denvera. - Miał rację, że ciężko ze mną wytrzymać. Zgodziłam się z tym. Ty również powinieneś się z tym zgodzić.

Denver nie zgodziłby się na nic, co miałoby oznaczać rozstanie z nią. Przysiękł sobie w duchu dowiedzieć się więcej o mężczyźnie, który zranił Courtney. Musiał jednak z tym poczekać, aż zdobędzie jej zaufanie. Kimkolwiek był ten dureń, zasługiwał, by go poćwiartować.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tej obręczy wtedy u Tyrella? Nie chciałaś mnie więcej widzieć. Skoro myślałaś, że to coś zmieni, powiedzenie mi o tym gwarantowałoby, że się odczepię.

- To nie było potrzebne.

- Fakt - przyznał z ponurym uśmiechem. - Pozbyłaś się mnie, uciekając stamtąd. - Zrobił krok w jej kierunku, po czym zatrzymał się. Chciał przekonać ją, by mu uwierzyła, nie chciał jednak gmatwać całej sprawy, dotykając jej teraz. - Courtney, twoja klamra nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie rozumiem, dlaczego nie mogłaś o niej powiedzieć.

Patrzyła przed siebie, jej głos brzmiał spokojnie.

- Jeśli to nie ma znaczenia, dlaczego miałam ci o tym mówić?

Przewrotna logika tej odpowiedzi pogłębiła jedynie jego frustrację. Porwał dziewczynę w ramiona i pochylając głowę, szepnął:

- Do diabła z tym. Oto co ma znaczenie. Rozchylił usta na jej wargach w pragnieniu tak

gwałtownym, jak szalejące za oknem żywioły. Tak samo jak wcześniej, pragnął ją posiąść. Przesuwał dłońmi po jej ciele sprawiając, że płonęła pod dotykiem jego palców. Gdy stała tak bez ruchu, nie uczyniwszy najmniejszego gestu, by go objąć, uniósł jej dłonie i oparł na swoich ramionach. Wtedy objęła go za szyję. Ten gest odebrał mu oddech i rozpałił krew. Coraz zaciekłej atakując jej usta, oparł dłonie na jej plecach, by mocniej przytulić ją do piersi. Jej dotyk wyrwał mu z gardła zmysłowy jęk. Courtney

nie mogła już dłużej się opierać. Dotyk silnego, napierającego na nią męskiego ciała, jego zapach, gwałtowny pocałunek, niesamowite, targające jej wnętrzem doznania przełamały ostatecznie opór dziewczyny.

Oboje dyszeli ciężko. Courtney powoli opuściła ramiona, przesuwając dłonie z barków Denvera na jego nagą pierś. Nieposłuszne jej woli palce zaczęły pieścić włosy na jego piersiach. Denver pochwyił jej spojrzenie.

- Nie wydajesz się inna w moich ramionach teraz, gdy wiem o obręczy.

Wiedziała, że musi coś powiedzieć, by przekonać go, że nie powinien nalegać. Otoczyła ją jednak mgła rozbudzonej namiętności. Myśli rozproszyły się, rozbiegły w najrozmaitszych kierun-

kach. Wszystkim, co mogła powiedzieć, było jego imię.

- Denver.

Jeśli nawet usłyszał błagalną nutę w jej głosie, nie dał tego po sobie poznać.

- Musimy dowiedzieć się, co nas właściwie łączy. Chcę cię poznać. I chcę, byś ty poznała mnie. Na wszystko potrzeba czasu. O to właśnie proszę. Daj nam czas.

Nie był to szczyt jego marzeń, ale przynajmniej jakiś początek.

Courtney wpatrywała się w niego, gotowa zaufać mu, lecz wciąż pełna obaw. Gdy rzucił ją Philip, doznała ogromnego zawodu i rozczarowania. Mogłaby zostać jeszcze silniej zraniona, gdyby Denver zrobił to samo. Od pierwszego momentu ich znajomości czuła coś, jakby przeskakujące między nimi w powietrzu iskry. Zdała sobie sprawę, że właśnie dlatego starała się od samego początku zniechęcić go.

Prosił teraz, by dostrzegła, że coś się między nimi zaczęło. Żądał czasu, by mogli się temu czemuś razem przyjrzeć. Powinna dać mu odpowiedź. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, jak ma ona brzmieć. Powinna powiedzieć „nie”. Coś jednak nie pozwalało jej na to. Odkryła, że trudniej zgasić szalejący ogień, niż ustrzec się przed zapaleniem płomienia. Słyszając chrząknięcie Brownie, Courtney spojrzała w kierunku drzwi. Gosposia trzyma-

ła za kołnierzyk suchą już koszulę Denvera. Courtney opuściła ręce i cofnęła się szeptem.

- O co chodzi, Brownie?
- Koszula pana Denvera jest już sucha.

Denver podszedł, wziął z jej rąk koszulę, podziękował za wysuszenie i założył ją.

Brownie odpowiedziała skinieniem głowy, po czym zwróciła się do Courtney:

- Czy pan Sierra zostaje na obiad?

Denver nie spuszczał oczu z Courtney. Dostrzegł na jej twarzy rozterkę. Krótkie wahanie dało mu nadzieję, której tak potrzebował. Spodziewał się, że ona odruchowo powie „nie”. Był gotów wyjść, jeśli będzie sobie tego życzyła.

• Planowałam zjeść jedynie sałatkę - powiedziała, patrząc na niego. - Jeśli nie masz nic przeciw tak lekkiemu posiłkowi, zostań, proszę.

• Z przyjemnością. - W jego głosie nie było ani śladu odczuwanego tryumfu.

Spałaszowałyby nawet stary but, jeśli miałyby to znaczyć, że pozwoliła mu wejść w swoje życie.

Courtney zwróciła się do Brownie:

- Wygląda na to, że będziemy miały towarzysza przy obiedzie.

Gosposia skinęła głową.

- Za dziesięć minut podam sałatkę w jadalni. Może pan Sierra będzie miał tymczasem ochotę na drinka?

Courtney po odejściu Brownie uśmiechnęła się, patrząc na Denvera.

- Spotyka cię zaszczyt Rzadko korzystamy z jadalni. Czego się napijesz?
- Szkockiej whisky, jeśli można. Z lodem i odrobiną wody.

Podeszła do wysokiego barku, którego wcześniej nie zauważył. Śledził jej pełne wdzięku ruchy, gdy otwierała drzwiczki, za którymi stało kilka karafek i rząd kryształowych kieliszków. Z jednej strony wgłębienia w blacie umieszczony był kurek. Pod półką z kieliszkami znajdowała się mała zamrażarka, z której Courtney wyjęła kilka kostek lodu. W lustrze zastępującym tylną ścianę barku widział odbicie twarzy dziewczyny. Gdy napełniała jego szklankę, uśmiechnął się.

-Wspaniale urządzone - stwierdził, spoglądając ponownie w stronę barku. - Musisz często przyjmować gości. U mnie stoi jedynie butelka burbona dla Phoenixa i szkocka dla mnie.

Wróciła do barku, by nalać sobie szklaneczkę soku.

- Tyrell kupił mamie ten barek, aby skłonić ją do większej troski o gości. Amethyst ma zwyczaj wręczać wszystkim piwo i inne napoje, rzucać na stół gorące hot-dogi i hamburgery zachęcając, by każdy obsłużył się sam. W jej domu w Nashville stoi już jednak jeden barek, a Crystal i Amber mają tak małe mieszkania, że z trudem mieszczą w nich swoje ciuchy. Koniec końców, barek trafił do 76 mnie, mam bowiem wystarczająco dużo miejsca, by mógł tu stać, a mama nie chciała zranić Tyrella, zwracając mu prezent.

Denver podniósł kieliszek do toastu.

- Za dobry początek.
 - Za teraźniejszość, a nie przyszłość. Denver skrzywił się.
-
- Czy w ten delikatny sposób sugerujesz, że nasz związek nie ma przyszłości?
 - Widzieliśmy się zaledwie trzy razy, raz rozmawialiśmy przez telefon. Trudno nazwać to podstawą związku. - Zmieniając temat, spytała: - Czy brat rzeczywiście przykleił ci filiżankę do biurka?

Bardzo podobał mu się wesoły blask w oczach dziewczyny.

- Niestety, tak. Phoenix to zawodowy kawalarz. Zupełnie nie zna granic. Kiedyś przybił mi gwoździami buty do podłogi, innym razem wysłał mnie na plac budowy z przyczepioną do pleców kartką: „przytul mnie, jestem taki samotny”. Zdarzyło mi się też założyć marynarkę, w której on zaszył rękawy.

- Jak na to reagujesz? Wzruszył ramionami.
- Śmiechem. Nie mam tyle wyobraźni, by odwdziżyć mu się w podobny sposób. - Oczy rozbliły mu z zaciekawieniem. - A może znasz jakiś niezły numer?
- Niestety.
- Nic nie szkodzi. To tylko tak przy okazji. Kim więc był ten facet, który tak źle się z tobą obszedł?

Zmrużyła oczy, marszcząc brwi.

- Jaki facet?
- Ten, który wmówił ci, że ta klamra stanowi jakiś problem.

Odstawiła szklankę.

• Wysłałam na głupią kilka lat temu. Nie było to nic przyjemnego. Wolalabym o tym zapomnieć.

• Chciałbym wiedzieć, czemu muszę się przeciwstawić. Nie lubię walczyć, nie znając przeciwnika.

„Powinam raz na zawsze skończyć tę rozmowę” - pomyślała.

- Wydawało mi się, że Kocham pewnego mężczyznę i wierzyłam, że on też mnie kocha. Myliłam się podwójnie.

- Co się stało?

Od odpowiedzi uratowało ją wejście Brownie z wiadomością, że dzwoni matka Courtney.

- Dziękuję, Brownie. Odbiorę w gabinecie. Rzuciwszy „przepraszam”, skierowała się ku

podwójnym drzwiom w drugim końcu pokoju. Zostawiając je uchylone, przeszła przez pokój, podeszła do biurka i podniosła słuchawkę ciemnozielonego aparatu.

- Cześć, mamusiu - powiedziała, siadając na wyściełanym skórą krześle.

Spostrzegła, że przyszedł za nią. Słuchając opowieści matki o planowanym wyjeździe do Nashvill-78 le, nie spuszczała z niego oczu. Denver przyglądał się wypełnionym książkami półkom zajmującym całą przestrzeń od podłogi aż po sufit. Stał obrócony do niej tyłem, czytając tytuły książek. Dłonie wsunął w tylne kieszenie dżinsów. Drinka zostawił w pokoju, gdzie siedzieli wcześniej. Courtney wiedziała, że wchodząc tu, już nigdy nie będzie mogła zapomnieć tego widoku. „To nie w porządku” - myślała, słuchając jednym uchem słów matki. Żyła dotąd bezpiecznie, spokojnie, rozsądnie.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była zmiana. Mama zapytała głośniej:

- Czy słuchasz mnie, Courtney? Odwracając wzrok od pleców Denvera, powiedziała:

- Słucham cię, mamusiu, uważnie. Mówisz, że wyjeżdżasz dziś wieczorem do Nashville, będziesz miała trzy występy, wracasz na plantację w piątek w nocy.

Już łagodniej Amethyst powiedziała:

- Tyrell zapraszał mnie na jakieś wymyślne sobotnie przyjęcie w Teksasie, ale odmówiłam.

Courtney usłyszała w głosie Amethyst nietypowe dla niej zmęczenie.

• Czy dobrze się czujesz?

• Oczywiście.

• Mamusiu.

-Jestem trochę zmęczona. To wszystko. Czy będziesz mogła przyjechać w sobotę na plantację?

Twoje siostry obiecały dołączyć w niedzielę. Od wieków nie spędziłyśmy razem jednego spokojnego dnia.

- Postaram się.

- Mam nadzieję, że nie poprzestaniesz na staraniach. Chciałabym, byś zobaczyła to miejsce. To naprawdę będzie coś, gdy renowacja dobiegnie końca. Aha, właśnie. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że dałam twój adres Denverowi. - Nie dając czasu na odpowiedź, kontynuowała: - Zanim skoczysz mi do oczu, jak wtedy, gdy powiedziałam mu, że może cię zastać w bibliotece w Williams-burg, pozwól mi przedstawić powody, którymi się kierowałam.

Denver przerwał badanie księgozbioru i usiadł na skórzanej kanapie, krzyżując nogi. Przebiegła wzrokiem od czubków butów aż do szarych, wpatrzonych w nią z rozbawieniem oczu. Nie starał się w żaden sposób ukryć, że przysłuchuje się tej rozmowie.

- Doskonale znam twoje powody, mamusi - mruknęła do słuchawki.
- Och - westchnęła Amethyst - Czy miałaś już z nim jakiś kontakt?

Courtney wolałaby, aby matka użyła innego słowa. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o ich cielesnym kontakcie. Ani o przyjemności, jaką on jej sprawiał.

- Tak - odpowiedziała sprawdzając, czy Brow-

nie nie kręci się gdzieś w pobliżu, ale najwyraźniej gospoia przebywała jeszcze w kuchni. - Mamo, czy będąc w Nashville, mogłabyś umówić Brownie z S aułem Hoopermanem? Ona się oczywiście do tego nie przyzna, ma jednak coraz mocniejsze i częstsze bóle głowy. Jeśli udałoby ci się umówić ich podczas twojego następnego pobytu w Na-shville, mogłybyśmy namówić ją, by pojechała z tobą i wtedy wysłałoby się ją do Saula.

- Zadzwoń do niego zaraz po przyjeździe. Nie będzie jednak łatwo namówić ją na wizytę. Ma wyjątkowe opory przed lekarzami.

Courtney bawiła się podniesionym z biurka ołówkiem.

- Możliwe, że potrzeba jedynie, by zaczęła nosić okulary, albo zrobiła sobie wakacje. Wolę jednak, żeby ją zbadano.

Amethyst obiecała zamówić wizytę dla Brownie, przypomniała Courtney jeszcze raz o nadchodzącym weekendzie i odłożyła słuchawkę.

Denver badał zmartwiony wyraz twarzy dziewczyny. Długie, smukłe palce bawiły się ołówkiem, ale wciąż jeszcze rozważała treść rozmowy. Poczł nagłe pragnienie zmniejszenia tego strapienia, które rzuciło cień na jej oczy. Dziwna rzecz, pomoc dziewczynie wydała mu się naturalna i konieczna. Problem polegał na tym, że wciąż jeszcze było za wcześnie, by Courtney wprowadziła go w swoje prywatne sprawy. W każdym razie spróbował.

- Jeśli twoja przyjaciółka nie czuje się dobrze, może lepiej by było, gdybym już poszedł.

Potrząsnęła głową.

- Brownie zdziwiłaby się, że zmieniłeś plany. Nie sądzę, aby było to coś poważnego. Mam przynajmniej taką nadzieję. Już zresztą chyba wszystko dla nas przygotowała.

Gdy oparła dłonie o stół, by wstać, znowu zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i przez chwilę słuchała, marszcząc czoło. Zaczęła mówić, przerwała, ktoś po przeciwnej stronie wyłączył się. Odłożyła słuchawkę. Nie wiedziała, czy z ostrzeżeniem dotyczącym egzaminu z historii zadzwoniła ta sama osoba, która zostawiła anonim za wycieraczką jej samochodu. Przesłanie różniło się. Nowe ostrzeżenie było ostrzejsze i bardziej bezpośrednie.

Spotykając wzrok Denvera, wzruszyła ramionami.

- Pomyłka.

Nie wierzył jej. Na myśl, że ktoś ubliża jej przez telefon, zacisnął ze złości szczękę. Doszedł do takiego wniosku, widząc przestraszony w jej oczach. Chciał podejść do niej, wziąć ją w ramiona, by poczuła się bezpieczna. Nie drgnął jednak. Spoglądając na książki, którym przyglądał się wcześniej z uwagą, powiedział:

- Moja mama byłaby zachwycona tym pokojem. Courtney z ulgą odetchnęła widząc, że Denver

przestał interesować się dziwnym telefonem.

- Twoja mama lubiła książki?

- Mówi się o uzależnieniu od alkoholu, nikotyny, pracy. Moja matka była

nałogowym czytelnikiem książek. Gdziekolwiek szła, zawsze miała przy sobie książkę. Nawet gdy krzątała się po domu albo gotowała, w tylnej kieszeni spodni lub w fartuchu można było dostrzec książkę. W prezencie na urodziny czy gwiazdkę wolała dostać coś do czytania niż biżuterię. Mówiła o książkach, że to klejnoty dla duszy.

Courtney uśmiechnęła się.

- Jakie książki lubiła twoja mama?

- Nie sądzę, aby interesowała się jakąś konkretną dziedziną czy gatunkiem literackim. - Popatrzył na półki z książkami. - Widzę, że większość to książki naukowe. Nie nazwałbym tego relaksującą lekturą.

-To zależy, czy lubisz czytać książki historyczne.

- Sądzę, że ty je lubisz. Czym zajmiesz się po zrobieniu doktoratu?

- Chcę się starać o etat wykładowcy w college'^ - Usłyszała kroki zbliżającej się

Brownie. -Nasz obiad jest gotowy.

Denver podniósł się czekając, by przepuścić ją przodem i dostrzegł jej podejrzliwe spojrzenie. Zastanawiał się, czy zawsze będzie kwestionować motywy każdego jego gestu.

- Wiem, żyjemy w czasach powszechnej równości - powiedział. - Nie potrafię jednak zapomnieć danych mi przez matkę wskazówek, jak należy tra-

ktować damę. - Wyciągnął rękę w kierunku drzwi. - Pani przodem. - Szedł za nią długim korytarzem, gdy nagle, zanim zdążyli dotrzeć do zwieńczonego łukiem wejścia do jadalni, rozległ się dzwonek.

- Pewnie z centrali telefonicznej - powiedziała do siebie, kierując się ku drzwiom. Denver pozostał w hallu, gdy Courtney, nie spojrzawszy we wzniernik, otworzyła drzwi. Któregoś dnia, całkiem niedługo, Denver porozmawia z nią na temat niezbędnych środków ostrożności, które powinna w takich sytuacjach stosować. Prawdopodobnie wywoła swoją opinią jej ostry sprzeciw. Był niemal pewien, że usłyszy od niej: „sama potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo”.

Courtney cofnęła się i do pokoju wśliznęła się jej siostra Crystal.

- Pomyślałam sobie, że może zastanę cię w domu - powiedziała. - Wpadłam tylko na minutę. Ostatnim razem zapomniałam zabrać twoją dżinsową kurtkę. Będę pracować nad naszymi strojami do wideo, mogę więc przy okazji zająć się też tą kurtką.

- Zaraz ci ją przyniosę. - Zamykając drzwi, ściągnęła uwagę Crystal na Denvera, opartego leniwie o ścianę.

- Dotrzymaj, proszę, towarzystwa Denverowi. Zaraz wracam.

Denver odprowadził ją wzrokiem. Potem obrócił głowę, napotykać pełne nieskrywanej podejrzliwości spojrzenie Crystal.

- Najpierw Amber, teraz Courtney - powiedziała uszczypliwie z obojętnym wyrazem twarzy. -Chcesz przelecieć całą rodzinę?

Rozbawiony potrząsnął głową.

- Nie. Możesz czuć się bezpieczna. Z Amber łączyły mnie interesy. Z Courtney zupełnie co innego.

Podeszła i zatrzymała się kilka kroków przed nim.

- Nie spodziewam się, żebyś chciał odpowiedzieć na pytanie, dlaczego interesujesz się Courtney.

- Masz rację.

Przyglądała mu się chwilę z przechyloną na bok głową.

- Możesz ją bardzo zranić.

Starając się uspokoić Crystal, powiedział:

• Postaram się, by tak się nie stało. - Sekundę później dodał: - Nie sądzisz, że Courtney może już sama dbać o swoje bezpieczeństwo?

• Nie o to chodzi.

• Wydaje mi się, że właśnie o to chodzi. O tym, czy może się z kimś związać, czy nie, powinna sama decydować, a nie zostawiać to siostrze czy komukolwiek innemu.

Courtney wróciła, niosąc kurtkę, którą miała na sobie, gdy Denver spotkał ją w bibliotece. Wręczając ją Crystal, powiedziała:

- Mieliliśmy właśnie usiąść do obiadu. Może zjadłabyś razem z nami?

• Nie dzisiaj. Chcę zabrać się do pracy nad naszymi kurtkami. Mama wyjeżdża do Nashville, będę więc miała cały dom dla siebie. To wspaniale, że mamusia oddaje całe piętro do naszego użytku, gdy Amber i ja ją odwiedzamy. - Spojrzała na Denvera. — Mama mówiła, że zaczynacie renowację w poniedziałek.

• Tylko na parterze. Obiecałem, że prace w sypialniach na drugim piętrze zostawimy na później. Póki co, możecie tam spokojnie mieszkać.

• Świetnie. Masę czasu zabrało mi wciągnięcie po schodach wszystkich przyborów do szycia, które ostatnio kupiłam. Wolałabym tego w najbliższym czasie nie ruszać. - Podeszła i objęła Courtney. - Muszę już lecieć. Czy zobaczymy się w czasie weekendu? Mama już wróci do tego czasu.

Odprowadzając Crystal do drzwi, Courtney odparła:

- Powiedziałam mamie, że postaram się przyjechać.

Crystal wychodząc posłała Denverowi ostrzegawcze spojrzenie, po czym szybko zamknęła za sobą drzwi.

- Już chyba umierasz z głodu - powiedziała Courtney, podchodząc do niego. - Masz ochotę na drinka przed jedzeniem?

Potrząsnął głową. Wchodząc do jadalni, spojrzał na stół nakryty dla dwóch osób.

- Twoja przyjaciółka nie zje razem z nami?

- Najwyraźniej nie. Usiądź, proszę. Zajrzę do kuchni.

Wróciła po kilku minutach, niosąc talerz z plasterkami mięsa na zimno i miseczkę wypełnioną po brzegi zieloną sałatą.

- Brownie pomyślała najwyraźniej, że nie wystarczy ci sałatka i przygotowała jeszcze dla ciebie zimną przekąskę.

Denver nie siedział za stołem, ale stał oparty

o poręcz krzesła, czekając na nią. Postawiła miseczkę i talerz, a on odsunął dla niej krzesło, uśmiechając się na widok jej wahania.

• To Phoenix jest kawalarzem, nie ja. Nie odsunę krzesła, gdy będziesz na nie siadać. Obiecuję.

• Nie o to chodzi. Znam po prostu niewielu mężczyzn, którzy dziś przysuwają dla kobiet krzesła.

- Robiliby to, gdyby mieli taką matkę jak ja. Wahala się jeszcze chwilę, nim spytała:

• Czy masz ochotę się czegoś napić? Może otworzyć butelkę wina?

• Nie przepadam tak bardzo za winem. - Rzucił spojrzenie na stojące przy nakryciach pucharki napełnione zmrożoną wodą. - Wystarczy woda. Czy planujesz kiedyś usiąść, czy mamy jeść na stojąco.

Gdy usiadła, przysunął swoje krzesło i podał jej sałatkę.

• Co Crystal chce zrobić z twoją kurtką?

- Crystal wymyśla stroje na estradę dla siebie

1 Amber. Pokazała mi swój projekt kurtek do wideoclipu zaplanowanego na przyszły tydzień. Gdy powiedziałam jej, że to najlepszy projekt, jaki kiedykolwiek widziałam, zdecydowała, że zrobi taki sam dla mnie. - Chrząknęła. - Nie mam pojęcia kiedy to na siebie włożę. Kurtkę będą zdobić kawałki najróżniejszych materiałów, frędzelki, kolorowe szkiełka i wszystko, co tylko siostra tam jesz cze wymyśli.

Denver pomyślał, że Courtney mogła nie wiedzieć, co zrobi z tą ekstrawagancką kurtką, było jednak jasne, że bardzo się nią ucieszy. Zastanawiał się, jak fascynujące będzie poznanie tej kobiety, która skryła swą prawdziwą twarz pod maską konserwatyzmu.

Gdy nałożyła sobie trochę sałatki, poszedł w jej ślady.

- Zadałem ci już kiedyś to pytanie, nigdy jednak na nie naprawdę nie odpowiedziałaś. Dlaczego nie występujesz razem ze swoją rodziną?

- Nie jestem stworzona do takich występów. Nabijając na widelec plasterek rzodkiewki, spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

- Nie mamy głosu?

- Mamy głos - odparła krótko. - Nie możemy go jednak z siebie wydobyć przed tłumem widzów.

Ze wzrokiem utkwionym w swoją stopę powiedział:

- Myślałem, że może nie chcesz występować z powodu tej klamry.

Courtney omal nie zadławiła się liściem sałaty. Denver nachylił się ku niej i lekko poklepał ją po plecach, pomagając złapać oddech. Większość ludzi taktownie pomijała milczeniem tę sprawę, gdy ich ciekawość została zaspokojona. Powinna wiedzieć, że Denver Sierra nie będzie postępował jak większość. Zamiast dać mu lekceważącą odpowiedź, jak zwykle czyniła, wyznała szczerze:

- Sympatią, współczuciem i opieką, jaką mi okazano, można by obdzielić kilka osób. Widząc, jak reporterzy rozdmuchują każdy drobiazg z życia matki i siostr, mogą sobie wyobrazić, co wypisywaliby na mój temat.

- To zależy od twojego głosu - powiedział z drażniącym uśmiechem. - Twój śpiew mógłby budzić więcej ciekawości niż klamra na nodze.

Dziwiło ją, że potrafi tak łatwo i lekko rozmawiać na ten „zakazany” temat. W jego ustach wszystko to brzmiało zupełnie naturalnie.

- Nie chcę, by traktowano mnie jak jakiś fenomen. Wewnątrz nie różnię się niczym od innych.

- O nie! Różnisz się bardzo - powiedział cicho. - Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. I nie mówię teraz o twojej nodze.

To nagłe przejście od lekkiej do pełnej napięcia rozmowy zaparło jej na chwilę dech w piersiach. Gdy zdołała się uspokoić, powiedziała ostrzegawczym tonem:

- Denver.

Zapominając o posiłku, pochylił się i nakrył jej dłoń swoją ręką.

- Skoro udało nam się zjeść razem jeden posiłek i nic złego nie przytrafiło się nikomu z nas, spróbujmy powtórzyć to jutrzejszego wieczoru.

- Nie mogę.

Dotknął kciukiem grzbietu jej dłoni.

- To znaczy, nie chcesz - powiedział delikatnie.

- Nie mogę. - Miała nadzieję, że nie usłyszy żalu, który zadźwięczał w jej głosie. -

Będę musiała sprawdzić wyniki jutrzejszych egzaminów. Przed końcem zajęć, we czwartek, trzeba napisać sprawozdanie.

- Więc w piątek wieczorem.

Powinna odmówić i nie powinno sprawić jej to kłopotu. Bóg wie, ile razy mówiła to, gdy ktoś chciał się z nią umówić. Nie mogła jednak powiedzieć tego teraz.

Puszczając jej dłoń, odchylił się na oparcie krzesła.

- Nie mów mi, że córka Amethyst Rand obawia się zwykłego spotkania.
- Nie obawiam się. Sądzę po prostu, że nie powinniśmy nawiązywać znajomości.
- Już za późno. Równie dobrze możesz się łaskawie zgodzić. Cóż może się stać przez jeden wieczór?

Mimo wewnętrznych oporów Courtney wyszeptwała:

- W porządku. W piątek wieczorem.

Denver nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymał oddech do momentu, aż dziewczyna zgodziła się na spotkanie. Wzdychając z ulgą, wstał i nagle chwycił ją w ramiona. Bez ostrzeżenia zaczął okrywać ją pocałunkami. Ponieważ ich związek był jeszcze zbyt świeży, zbyt delikatny, by postępować szybko, zmusił się do uniesienia głowy, nim zaczął tracić nad sobą panowanie.

- Lepiej pójdę, póki jeszcze mam na to siłę - mruknął. Ujmując jej dłoń, pociągnął ją za sobą do drzwi. Zaciśnął mocniej palce, widząc jej zmieszane spojrzenie. - O siódmej, dobrze?

Wolno skinęła głową, zastanawiając się, czy nie popełnia właśnie największego błędu w życiu. Jakby domyślając się jej niepewności, pochylił głowę i zniewolił jej usta krótkim, gwałtownym pocałunkiem, przypominając dziewczynie, co ich łączy.

- Spotkamy się w piątek wieczorem - powiedział troszkę szorstkim głosem, po czym otworzył drzwi i szybko wyszedł.

ROZDZIAŁ V

Przez następne trzy dni Courtney była zajęta organizacją końcowych egzaminów, ocenianiem prac, wypełnianiem rubryk sprawozdań i porządkowaniem własnego biurka. Jeśli nie liczyć incydentu w dniu egzaminów, koniec roku był zwyczajny, nie specjalnego się nie działo. Tylko przebite szczyrykiem jabłko, które znalazła tego dnia na biurku, miało być najwyraźniej kolejnym ostrzeżeniem. Wyciągnęła nóż, złożyła i nie wiedząc, co z nim zrobić, wrzuciła do torebki.

Przyglądała się twarzom wchodzących do klasy uczniów, starając się odgadnąć, kto z nich mógł tak bardzo niepokoić się o wynik egzaminu, by zastosować aż tak drastyczną groźbę. Kilku wyglądało na znudzonych, kilku było w złym humorze, a niektórzy nie wykazywali żadnego zainteresowania zbliżającym się sprawdzianem. Wszystkie ich reakcje były zupełnie typowe.

Gdy ostatnia, najstarsza klasa skończyła pisanie testu, Courtney zastanawiała się, czy poinformować dyrektora o dzisiejszym incydencie i anonimowym liście, znalezionym za wycieraczką. W końcu jednak zrezygnowała. Groźby ustaną wraz z końcem egzaminów. Domyślała się, kto mógł jej grozić. W każdej klasie miała kilku uczniów, których ocena nie była jeszcze pewna. W ich przypadku wynik testu miał zdecydować o promocji do następnej klasy.

Gdy uczniowie rozwiązywali test, przebiegła w myślach listę obecności, starając się

dociec, kto mógłby posunąć się do prób zastraszenia jej. Uczeń młodszej klasy Joe Trailer marzył, by zostać pilotem, a z angielskiego i historii zasługiwał jedynie na mierne oceny. Jego aspiracje zdawały się być zupełnie nierealne, chłopiec bowiem rzadko zaglądał do książek. Sharon Preston była kolejną osobą mającą więcej życzeń niż chęci do pracy. Randki ze wszystkimi członkami drużyny piłkarskiej nie pomogły jej w przygotowaniach do egzaminów wstępnych do college'u. Uczeń starszej klasy David Steward to klasowy błazen, niewiele rzeczy traktujący poważnie, zwłaszcza naukę. W ciągu roku jego rodzice kilka razy kontaktowali się z Courtney, by dowiedzieć się, jak chłopiec mógłby poprawić stopnie, aby studiować na Alma Mater swojego ojca. „Bywa - myślała - że zadania, jakie rodzice stawiają przed dziećmi, są równie nierealne, jak marzenia samych uczniów.”

Mimo że była wyjątkowo zajęta podczas tych ostatnich trzech dni szkolnego roku, często przylapywała się na myśleniu o Denverze. Za każdym razem, gdy myślała o ponownym spotkaniu, jej oczekiwania rosły. Do piątku zdołała jednak siebie przekonać, że to ma być zwykła randka, a nie ja-

kies zobowiązanie na całe życie. Była trochę starsza i dużo mądrzejsza niż wtedy, z Philipem. De-nver Sierra jest miły, czarujący, atrakcyjny i z pewnością nie stanowi dla niej żadnego zagrożenia, jeśli będzie pamiętać, aby nie obiecywać sobie zbyt wiele.

„To ma być najzwyczajniejsze spotkanie” - przypomniała sobie tego wieczoru ubierając się. Wkładała właśnie białą, jedwabną koszulę do plisowanych spodni, kiedy do sypialni weszła Brownie, niosąc odebrany z pralni chemicznej żakiet. Starsza pani zmarszczyła się na widok spodni Courtney.

- Czy w to zamierzasz się ubrać?

Courtney dyskretnie uśmiechnęła się. Brownie była wychowana w przekonaniu, że spodnie są nieodpowiednim strojem do pokazywania się w towarzystwie. Zapinając w talii pasek, powiedziała:

- Nie sądzę, abyśmy mieli odwiedzić jakieś wyjątkowo eleganckie miejsce.

Brownie podała Courtney żakiet w czerwono-czarną kratę, a kiedy dziewczyna wsuwała ręce w rękawy, spojrzała na jej fryzurę.

- Dlaczego upięłaś w ten sposób włosy? Rozpuszczone wyglądają dużo ładniej.

Courtney zaplotła włosy w warkocz francuski w ulubionym przez siebie stylu, ale nie wszyscy podzielali jej upodobania. Uśmiechnęła się.

- Nie robiłaś tyle zamieszania wokół mojego

wyglądu od czasu, gdy miałam szesnaście lat i wybierałam się na pierwszą zabawę szkolną. Brownie nie dała się zbić z tropu.

- Niemal od tak dawna nie wybierałaś się nigdzie z mężczyzną - odpowiedziała, nie dając za wygraną.

Courtney musiała przyznać jej rację. Sama też miała wrażenie, że było to bardzo dawno. Możliwe, że właśnie dlatego czuła teraz, jakby cała kolonia mrówek przechodziła jej po plecach. Zdecydowała, że najwyższy czas zmienić temat.

• Czy w dalszym ciągu wściekasz się na mamę za to, że umówiła cię z doktorem Hoopermanem?

• Mam ważniejsze sprawy na głowie niż wałęsanie się po lekarzach z Nashville - mruknęła. - Jadę z nią tylko dlatego, że prosiła o pomoc przy pakowaniu rzeczy, które chce zabrać na plantację. Pójdę do tego lekarza pod warunkiem, że nie zabierze to zbyt dużo czasu.

By ukryć rozbawienie, Courtney odwróciła się w kierunku szafy. Mama musiała bardzo sprytnie pokierować sytuacją, aby Brownie w końcu się zgodziła. Na dźwięk dzwonka oznajmiającego przybycie Denvera, Courtney poczuła, jak serce skoczyło jej do gardła, mimo że w ciągu ostatnich dni wielokrotnie obiecywała sobie, że zachowa spokój.

Brownie wypadła z sypialni, pędząc ku drzwiom z takim pośpiechem, jakby dzwonek był sygnałem startowym wyścigu. Rzucając ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, Courtney powtarzała w myślach, że tysiące ludzi każdego dnia umawia się na wspólny wieczór i że nic niezwykłego się nie stanie. Nie mogła mylić się bardziej.

Widząc stojącego w drzwiach Denvera, zastanawiała się, czy dla niego ten wieczór ma również istotne znaczenie. Wydał jej się jeszcze bardziej pociągający w granatowym płaszczu, białej koszuli i szarych spodniach. Nie można jednak było po nim poznać, że oczekuje z drżeniem serca na te kilka godzin. Idąc w jego kierunku, zwolniła, starając się wymyślić powitanie, które zmniejszyłoby obustronne napięcie.

— Mamy kłopot - rzekł złowieszczo.

Już otwierała usta, by powiedzieć, że wie, o co mu chodzi, gdy chwycił ją za rękę i wyciągnął przed dom. Najwyraźniej kłopot, który miał na myśli, różnił się od tego, o którym ona myślała. Przed domem stał duży czarny samochód ciężarowy. Zamiast zaprowadzić ją na miejsce pasażera, podszedł do tylnej części pojazdu. Puścił jej dłoń i uchylił drzwi. Pokazał gestem, by zajrzała do środka, po czym oparł dłonie na biodrach mówiąc:

- Oto nasz kłopot.

Minęło kilka sekund, zanim jej oczy przyzwyczyły się do ciemności wewnątrz pojazdu. W pierwszej chwili nie była pewna, czy widzi właśnie to, o czym informuje ją mózg. Przetarła oczy i ponownie zajrzała.

- Denver. - Cofnęła się o krok i podniosła na niego zdziwione spojrzenie. - Tam jest koza.

Obróciła głowę, by znowu spojrzeć w głąb samochodu. Łaciata niewielka koza z rozkoszą chrupała żdźbła siana, ignorując przyglądających się jej ludzi. Na ustach Courtney pojawił się uśmiech, który na próżno usiłowała ukryć.

- Jak ona ma na imię?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć?! To nie moja koza i nie ja ją tu wsadziłem.

- Aha. - Zaświtała jej w głowie myśl. - Phoenix.

- Phoenix - powtórzył. Zatrzasnął drzwi.

- Spostrzegłem tę piekielną kozę dopiero po zaparkowaniu przed twoim domem.

Musiała spać całą drogę, nie widziałem jej bowiem w lusterku. Miałem właśnie wyłączyć silnik, gdy usłyszałem za sobą przerażające beczenie. O mało nie wyskoczyłem ze skóry.

Courtney ze wszystkich sił starała się nie wybuchnąć śmiechem. Podniosła dłoń, by przysłonić usta, nie udało jej się jednak opanować cichego chichotu. Po chwili trzymała się już za brzuch, oparta o tył ciężarówki i zanosila się od śmiechu. Może na dźwięk jej głosu, a może dzięki własnemu poczuciu humoru, po chwili Denver wybuchnął donośnym śmiechem.

- Może twój brat sądził, że przydałaby ci się dziś

wieczorem przyzwóitka - powiedziała Courtney, trochę już uspokojona, ocierając łzy.

- Mojemu bratu przydałoby się solidne manto.
- Możemy się przecież odegrać.
- Co masz na myśli?
- Phoenix zna oczywiście twoje plany na dzisiejszy wieczór. Czy wiesz, co on sam dzisiaj robi?
- Ma randkę. Nie możemy jednak wcisnąć mu do auta kozy, prowadzi bowiem porsche, zwierzak się tam nie zmieści. Nie wiem też, dokąd chce wyjść, nie będziemy więc mogli go znaleźć.
- A czy przyprowadzi potem swoją dziewczynę do siebie?
Uśmiechnął się szerzej domyślając się, ku czemu zmierza.
- Możliwe. Nawet jeśli wróci sam, szokiem będzie dla niego znalezienie kozy we własnym mieszkaniu. Czy nie masz nic przeciw dłuższej przejażdżce? Phoenix mieszka w Richmond.
- To ty będziesz prowadził. Jeśli sam nie masz nic przeciw, ja się zgadzam.
Wziął ją za rękę, otworzył drzwi, objął w talii i posadził na wysokim fotelu. Zapiął pas przy jej siedzeniu, po czym nachylił się i pocałował nagle w usta.
- Jak na nauczycielkę, jesteś wyjątkowo przebiegła. Uwielbiam takie kobiety.
Gdy usiadł za kierownicą, spytała:
- Jak dostaniemy się do jego mieszkania? Nie

umiemy posługiwać się wytrychem. Chyba, że to jeden z twoich ukrytych talentów.

- Obaj mamy klucze do mieszkania każdego z nas.
Opuścił szybę, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Zapach siana i kozy stawał się coraz silniejszy.
- Jeśli mogłabyś zająć się kozą, wziąłbym siano i umieścił je w salonie.
Potrząsnęła przecząco głową.
- Nie sądzę, aby to był najlepszy pomysł. Nasz przemiły czworonożny przyjaciel może okazać się poważnym zagrożeniem dla tapet. Lepiej zamknijmy go w łazience. Wiele dałabym, by zobaczyć minę twojego brata, gdy po wejściu do łazienki stanie oko w oko z kozą.
Denver rzucił dziewczynie wesołe spojrzenie.
- Powiniennem zapamiętać twój sposób myślenia. Ta przebiegłość to część twojej natury czy rzecz zupełnie przypadkowa?
- To cecha rodzinna.

W drodze do Richmond, Courtney zabawiała go najróżniejszymi anegdotkami z czasów, gdy wychowywała się razem z siostrami. Denver zauważył, że we wspomnieniach dziewczyna pomija konsekwentnie osobę ojca i ojczymów. Albo nie brali oni żadnego udziału w opowiadanych historyjkach, albo nie odgrywali znaczących ról w życiu trzech młodych kobiet. On oczywiście nie zamierzał podzielić ich losu. Chciał stać się najważniejszą osobą w życiu Courtney, nie jakąś drugoplanową postacią.

Pięć kilometrów przed Richmond koza stała się niespokojna. Udało jej się przedostać bliżej i wsadzić głowę pomiędzy nich. Dusząc się ze śmiechu, Courtney objęła ją za szyję i pogłaskała szczecinia-sty łeb.

- Co się stało? Czujesz się samotna tam z tyłu? Denver obróciwszy się spojrzał na wtulającą się w ramię Courtney zwierzę. Zaciśnął mocniej palce na kierownicy, przenosząc z powrotem wzrok na drogę.

- Cholera - zaklął pod nosem. Był zazdrosny o kozę. Zaszedł więc dalej, niż mógłby się spodziewać. - Koza nie jest najczystsza, Courtney. Pobrudzi ci kurtkę.

Zdążyła już to zauważyć. Mimo wszystko nadal tuliła zwierzę.

- Z takich powodów zostały stworzone pralnie -odpowiedziała.

Denver nie mógł się z nią zgodzić. Jadąc do domu dziewczyny, nie czuł żadnego dziwnego zapachu. Teraz, gdy koza podeszła bliżej, trudno było nie wyczuć jej obecności. Kątem oka dostrzegł, że Courtney otwiera torebkę. Po chwili usłyszał psyki-nięcie. Gdy obrócił głowę, by zobaczyć, co robi, uderzyła go zupełnie inna woń, którą mgliście sobie przypominał.

- Skrapiasz perfumami kozę! - wykrzyknął zdumiony. - Jak ona będzie mogła wrócić do miejsca, skąd zabrał ją Phoenix? Wszyscy znajomi z podwórka odwrócą się od niej, gdy będzie tak dziwnie pachnieć.

Courtney wrzuciła małe rozpylacz do torebki.

- Nie przejmuj się nim, Chanel - powiedziała słodko, głaszcząc kozią główkę. - Wścieka się, bo sam o tym wcześniej nie pomyślał.

Denver roześmiał się.

- Dobry Boże! Nawet nadała kozie imię. Nie przywiązuj się do niej zbyt, Courtney, Phoenix będzie musiał ci ją odebrać.

- Wiem, ale ona jest taka miłutka. Denver potrząsnął w osłupieniu głową.

- Większość kobiet lubi pudełka czekoladek i kwiatki. Znam jednak taką, co woli żywy inwentarz.

Zatrzymał samochód przed murowanym budynkiem i wyłączył silnik. Pochylając się popatrzył wokół. Jasno oświetlony hall był pierwszą przeszkodą do pokonania. Oprócz dozorczy mogli spotkać jeszcze kilka innych osób, które na pewno miałyby coś przeciw kozie spacerującej po kafelkowanej podłodze i wjeżdżającej windą na trzecie piętro.

Jakby czytając w jego myślach, Courtney spytała:

- Czy na tyłach domu jest jakaś winda dla pracowników?

• Nic o tym nie wiem, są za to dodatkowe schody.

• Schody - powtórzyła cicho. Jej wieczna zmora. To był jednak jej pomysł, nie mogła się teraz wycofać.

• Wprowadzę Chanel po schodach, a ty wjedziesz windą z belą czegoś tam pod pachą. Jeśli ktoś cię spotka, spojrzysz najwyżej ze zdziwieniem, nie wywołasz jednak takiej sensacji, jak gdybyś wjeżdżał windą z Chanel.

Nie tyle same słowa, co nuta wahania w jej głosie sprawiła, że obrócił ku niej głowę. I nagle uderzyła go ta myśl. Zupełnie zapomniał o nodze, która była dla niej poważnym utrudnieniem we wspinaczce po schodach. Miał już zaproponować wspólną jazdę windą albo pozostawienie kozy na placu budowy, ale przypomniał sobie wyraz jej twarzy i kierowane w bok spojrzenie, gdy mówiła mu, że nie znosi być traktowaną inaczej ze względu na swą ograniczoną sprawność. Walczył przez chwilę z męskim instynktem, zmuszającym go, by chronił ją na wszystkie możliwe sposoby. Nie chciał urazić jej dumy nalegając, by zrezygnowali z zaplanowanego dowcipu. Pamiętał, jak myśl o psocie roziskrzyła jej oczy. Mimo, że bardzo chciał ustrzec ją przed wspinaczką, musiał jednak na nią pozwolić.

Podrzucając ze złością kluczyki w dłoń, otworzył samochód i pomógł dziewczynie wysiąść. Podeszli do tylnej części wozu, otworzył drzwi i wszedł do środka, by odwiązać linkę łączącą kozę /. wiązką siana.

- Drzwi na schody znajdują się naprzeciw windy - powiedział, wyciągając zwierzę. -

Phoenix mieszka pod numerem 4/16. Tam się spotkamy.

Owinawszy kilka razy linkę wokół dłoni, Courtney skinęła głową i zaczęła ciągnąć za sobą Chanel, szepcząc coś do niej czule.

Denver stał przez kilka sekund, przyglądając się dziewczynie i jej słabej lewej nodze. W myślach powróciło ostrzeżenie, które dała mu pierwszego wieczora. Powiedziała, że kiedyś zmęczą go jej ograniczenia. Myliła się. Wiedział, że obręcz na nodze nie powstrzyma jej przed niczym. Łącznie z wciągnięciem po schodach kozy na trzecie piętro.

Zamiast czekać niecierpliwie przed drzwiami mieszkania, Denver wtaszczył siano do środka i ułożył je pod prysznicem. W sypialni zadzwonił do restauracji, odwołując zamówioną kolację. Potem napełnił rondelkę wodą i postawił na podłodze w łazience. Zabrał ręczniki i odsunął szklane drzwi oddzielające kabinę z prysznicem. Schował mydło do apteczki, na wypadek gdyby historie o wszy-stkożernych kozach miały okazać się prawdziwe. Otworzył drzwi, by Courtney mogła od razu wejść do środka. Woń „Chanel numer 5” oznajmiła jej przybycie. „Musiała jeszcze kilka razy spryskać kożę” - pomyślał wesoło. Wychodząc z łazienki, zobaczył, jak Courtney ze zdziwieniem przygląda

się wystrojowi pokoju. Nawet koza wyglądała na zaskoczoną.

Courtney patrzyła na obite czerwonym pluszem meble, czarne poduszki, stojącą przy ścianie ogromnych rozmiarów gablotę z zadziwiającą kolekcją sprzętu elektronicznego od ekranu telewizora począwszy, a na kilku zestawach wideo skończywszy. Na niezliczonej ilości szafeczek piętrzyły się płyty i kasety. Przed stylizowanym, opalonym gazem kominkiem na czerwonym dywanie leżały dwie miękkie czarne poduszki. Jedyną dekoracją białych ścian był obraz młodej Indianki, stojącej na szczycie urwiska, wpatrzonej w rozciągającą się przed nią panoramę pustyni. Cały jej strój stanowiła skąpa koszula ze skóry jelenia. Wiatr rozwiewał czarne włosy, odsłaniając piękny profil.

- Muszę obejrzeć łazienkę. Może zakasować wszystkie, które ja i moje siostry widziałyśmy dotychczas - powiedziała Courtney z nagłym zapałem, ciągnąc za sobą kożę.

Zaskoczony tak nieoczekiwanym zaciekawieniem poszedł za nią.

- Czy fascynują cię nocniczki? Wybuchęła śmiechem.

• Od dzieciństwa bawimy się z Crystal i Amber porównywaniem łazienek naszych znajomych.

• To by wyjaśniało dziwną rozmowę Courtney i Amber na przyjęciu u Tyrella - pomyślał na głos Denver. - Ciekawe hobby.

- Kiedy byłyśmy małe, mama za złe zachowanie zamykała nas w łazience. Wysłanie nas do pokoju nie było dobrą karą, miałyśmy tam bowiem sterty zabawek. Sądziła, że w łazience nie będziemy mogły znaleźć zbyt wielu rozrywek. Myliła się oczywiście.

Grałyśmy tam w kółko i krzyżyk, rysując mydłem po lustrze, rzucałyśmy kulkami z ligniny, robiłyśmy sobie makijaż. Potem zaczęłyśmy oglądać cudze łazienki zastanawiając się, czy chciałybyśmy zostać zamknięte w nich na dłużej. Amber chciała kiedyś założyć specjalny łazienkowy album, ale Crystal odradziła jej. Teraz przyglądamy się łazienkom dla zabawy.

Wyprzedzając ją o krok, otworzył przed nią drzwi.

- Ta na pewno przypadnie ci do gustu.

Tak też było. Na ścianach, wyłożonych od podłogi do sufitu lustrzanymi kafelkami,

wisiały ozdobne lichtarze z żarówkami w kształcie płomieni świec. Nad czarną porcelanową umywalką widniał mosiężny kurek. Zabierając ze sobą kozę, Courtney przeszła po największej kabinie z prysznicem, jaką kiedykolwiek widziała. Były w niej mosiężne kurki, po dwa na przeciwległych końcach i jeden w środku. Sześć osób równocześnie mogłoby brać tu prysznic, nie dotykając się wzajemnie.

Słoma zupełnie tu nie pasowała. Courtney pociągnęła za linkę kozę, by weszła do kabiny. Przywiązała ją do kurka z zimną wodą i spojrzała na Denvera, który oparty o ścianę przyglądał się jej z rozbawieniem.

- Moglibyśmy tu zmieścić całe stado kóz - powiedziała.

-1 tak już jest o jedną za dużo. Wyszła z kabiny i podeszła do niego. Uśmiechając się zdjął źdźbło siana z rękawa jej kurtki.

- Miałem trochę inne plany na dzisiejszy wieczór.

- Nie planowałeś spotkania z kobietą pachnącą jak podwórko gospodarskie?

- Czyżby? - spytał cicho, wpatrując się w jej oczy. - Nie zauważyłem tego. - Pochylił głowę, by powąchać aksamitną skórę poniżej jej ucha. - Dla mnie pachniesz jak kobieta. Piękna kobieta, bardzo seksy, pełna ciepła...

Przeszył ją dreszcz podniecenia, gdy poczuła oddech i dotyk jego ust na szyi. Bez wahania przytuliła się do niego, pragnąc kontaktu z silnym ciałem. Przesunęła dłoń po jego wspaniałej klatce piersiowej i uniosła je, by objąć go za szyję. Myśli o koniecznej ostrożności ulotniły się w chwili, gdy obsypał pocałunkami jej policzki, wędrując do ust. Czując smak namiętnego pocałunku, zanurzyła się w słodkiej rozkoszy. Rozchyliła wargi w niemej prośbie o jeszcze i jeszcze...

Oparł dłoń na jej biodrach, potem wsunął pod kurtkę, pieszcząc plecy przez jedwabną bluzkę. Materiał dotykający skóry stawał się gorący od jej żaru.

Denver przechylił głowę, całując ją coraz moc-

niej i mocniej. Ślizgające się dłonie dotknęły jej piersi. Dziewczyna westchnęła cicho w ciepło jego warg sprawiając, że nieomal stracił panowanie nad sobą. Pograżyli się zupełnie w zmysłowym uniesieniu, gdy nagle rozległo się głośne beczenie. Mgła przesłaniała wciąż jeszcze oczy Denvera, kiedy uniósł głowę w poszukiwaniu źródła tego dziwnego dźwięku. Kozą ponownie zabczała. Piersi zadrgały mu od śmiechu, spojrzał na utrzymaną w ramionach kobietę. Miała wilgotne, lekko nabrzmiałe usta i błyszczące, rozpalone pragnieniem oczy.

- Zostaliśmy zganieni przez naszą przyzwoitkę.

Courtney odpowiedziała uśmiechem, ale pomyślała, że powinna być wdzięczna kozie za przerwanie tych pieszczot. Rozsądek starał się przekonać ją, że dobrze się stało, ale ciało pulsowało ciągle niezaspokojonym pragnieniem. Opuściła ramiona. Denver przechylił lekko głowę na bok, by lepiej widzieć jej twarz.

- Powinnam podzielać jej opinię.

- Dlaczego myślisz, że nie wolno ci pragnąć mnie? To, co dzieje się teraz między nami, jest najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Musiała cofnąć się o krok, by czując ciepło jego ciała, nie poddać się przemożnej pokusie ponownego zbliżenia.

- Nie chcę się z tobą wiązać, mówiłam ci już.

- Słyszałem, ale nie uwierzyłem. I nie wierzę te-

raz. Przed chwilą w moich ramionach byłaś szczerą. Pragniesz mnie tak samo, jak ja pragnę ciebie.

Courtney mogła zaprzeczyć, nie zrobiła jednak tego. Wiedziałby bowiem, że kłamie. Tak, pragnęła go. Bała się jednak, że znów może zostać zraniona.

- Powinieneś znaleźć sobie inną partnerkę. Ja nie bardzo się do tego nadaję.

Badając uważnie twarz dziewczyny, dostrzegł w jej oczach ogromny niepokój. O, jak bardzo nienawidził mężczyzny, który był tego przyczyną.

- Dlaczego nie pozwoliś mi być sędzią w tej sprawie? - Ujął jej dłoń i skierował się ku drzwiom. - Powinniśmy wyjść stąd, bo inaczej Phoenix odkryje w swojej łazience nie tylko kozę.

Gdy zjeżdżali windą, trzymał ją mocno za rękę. Czuła się zawiedziona, że jej słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Odpierał wszystkie zarzuty, ignorował protesty, no i całował z taką miłością i pożądaniem, że traciła oddech i stawała się bezbronna.

„Co najlepszego zrobiłam?” - pytała siebie z rozpaczą. Po raz pierwszy, od kiedy porzucił ją Philip, zrodziło się w niej pragnienie czegoś więcej niż praca i samotność. Dotarli do samochodu. Denver posadził ją, potem sam usiadł za kierownicą. Ale zamiast włączyć silnik, położył rękę na oparciu jej fotela i powiedział:

- Zamówiłem dla nas kolację w restauracji w Yorktown, później jednak, dzwoniąc z mieszka-

nia Phoenixa, odwołałem zamówienie. Nie mielibyśmy szans zdążyć na czas. Mieszkam niedaleko stąd. Mogłbym przygotować coś do jedzenia u mnie w domu, jeśli nie masz nic przeciwko takiemu zaproszeniu. Ale jeśli wolisz, możemy wybrać którąś z restauracji w mieście.

Zamyśliła się. Sam fakt, że pozostawił jej możliwość wyboru, był dostatecznym powodem do zastanowienia. Pomyślała, że bardzo chce zobaczyć jego dom. Z uczuciem, jakby stała na niebezpiecznie chwiejącej się kładce nad głęboką przepaścią, rozważała, czy bezpieczniej jest cofnąć się, czy spróbować pójść dalej, choć nie wie, co ją czeka.

- Jestem głodna. Sianko Chanel zaczyna wyglądać coraz apetyczniej.

Denver poczuł ulgę. Nie miał pojęcia, co znajdzie w kuchni, ale obecność Courtney mogła zastąpić mu posiłek.

- Sądzę, że mógłbym zaserwować ci coś lepszego niż stertę słomy - powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Po obejrzeniu mieszkania Phoenixa, Courtney nie wiedziała, czego może się spodziewać u Denvera. Gdy skręcił w małą uliczkę, w światłach samochodu zobaczyła duży, murowany dom przypominający zamek. Zaparkował przed łukowatym wejściem. Naciskając jeden z wielu guzików, zapalił światło przed domem i wzdłuż prowadzącego do niego podejścia. W oknach budynku również roz błysły światła. Uniosła brwi.

- Boję się pytać, do czego służą pozostałe przyciski.

Uwielbiał tę zabawną nutę w jej głosie.

• Jeden otwiera drzwi garażu, ten obok to alarm, a ostatni uruchamia mechanizm zabezpieczający przed kradzieżą ciężarówki. Jeden z naszych dostawców ofiarował nam ten system sterujący w formie reklamy z nadzieją, że kupimy je do naszych ciężarówek. Jakie zrobił na tobie wrażenie?

• Ogromne. Wciąż lękam się zwykłego tosterka wyrzucającego grzanki, a to urządzenie jest bardziej złożone. Czy czekają mnie jeszcze inne niespodzianki, przed którymi powinnam zostać ostrzeżona?

• Nie, jeżeli nie przeraża cię podgrzewana łazienka. - Otworzył drzwi i obrócił się ku niej. — Zmieniłaś zdanie? Przysięgam, że wewnątrz domu jest zupełnie normalne.

Jedyne przełączniki, jakie tam zobaczysz, służą do zapalania światła i pozbywania się śmieci. W porządku?

- W porządku.

Pomógł jej wysiąść. Gdy dotknęła stopami chodnika, wziął ją za rękę. „Powoli przyzwyczajają się do tego” - pomyślała, stojąc przy nim, gdy otwierał drzwi.

Denver przekreślił kontakt i kilka świateł rozbłysło w pokoju. Ogromne wrażenie zrobił na niej

jego wystrój. Pastelowy beż, łagodny turkus, pomarańcz z dodatkiem błękitu, dywan jasnobrązo-woy, tapczan i dwa fotele w delikatnym błękicie. Na tapczanie leżał kolorowy pled w indiańskie wzory. W pokoju stało kilka glinianych wazonów. W jednym z nich rosła pampasowa trawa. W tym spokojnym, wygodnym wnętrzu czuło się atmosferę południowego zachodu. Spojrzała na Denvera.

- Twój dom jest śliczny.

• Miło mi, że ci się podoba. Po postawieniu tyłu domów dla innych ludzi, mogłem w końcu zbudować coś dla siebie. - Uśmiechnął się i dodał: - Chcesz zobaczyć łazienkę? Nie ma w niej żadnej kozy.

- Chyba, że Phoenix wpadł na ten sam pomysł, co my.

Uniosła ramię, powąchała i skrzywiła się.

- Pachnę jak Chanel. Wskaż mi kierunek, pójdę się umyć.

Aby nie zabierać ze sobą torebki, zdecydowała się położyć ją na rogu najbliższego stołu. Patrzyła jednak na Denvera zamiast na stół i torebka upadła na dywan.

Otworzyła się i wypadła z niej część zawartości. Denver ukląkł i nagle jego wzrok padł na jeden z przedmiotów leżących na podłodze. Podniósł go i zapytał ze zdziwieniem:

- Po cóż, do diabła, nosisz to przy sobie? Trzymał w dłoni nóż.

ROZDZIAŁ VI

- Zapomniałam, że mam go w torebce - powiedziała. - Miałam oddać go dyrektorowi.

Denver wyprostował się.

- Dlaczego? Czy jest to obecnie część wyposażenia pedagoga, którą należy następnie zwracać dyrektorowi?

Wzięła od niego nóż, wrzuciła do torebki i położyła ją na stole.

- Jeden z uczniów zostawił go na moim biurku.

Denverowi nie podobało się, że mówiąc to, odwracała wzrok. Ściągnęła kurtkę i położyła ją na oparciu krzesła.

- Miałeś pokazać mi, gdzie mogę się umyć. Wskazał na korytarz.

- Pierwsze drzwi na prawo.

Gdy odwróciła się, by odejść, chwycił jej nadgarstek, powstrzymując ją.

- W ten sposób jedynie odkładasz rozmowę na później. Chcę wiedzieć, dlaczego ktoś z uczniów miałby zostawić nóż na twoim biurku. Będę w kuchni. Wracając skreśl z korytarza na lewo.

Odkręcając jeden z kurków nad umywalką, Courtney poczuła się jak w oazie na pustyni, gdy strumień chłodnej wody chlusnął jej na rękę. Podobnie jak salon, łazienka była utrzymana w poło-112 duiowo-zachodnim stylu, w odcieniach brązu i zieleni. Mydłem o sosnowym aromacie umyła dokładnie dłonie, by pozbyć się pamiętki po

przytulaniu kozy. Wytarła ręce i spojrzała przelotnie na swoje odbicie w owalnym lustrze. Wyszła z łazienki, nie oglądając się już więcej. Nie chciała widzieć blasku podniecenia i oczekiwania, który dostrzegła przed chwilą w swoich oczach. Epizod z kozą zbliżył ją z Denverem bardziej niż jakakolwiek wspólna kolacja w restauracji. „Nic tak jak koza nie pomaga w przełamywaniu barier międzyludzkich” — pomyślała. Nie mogła już tego znieść. Chciała być z Denverem. Po prostu. I on również chciał z nią być.

Po doświadczeniach z Philipem nie mogła obronić się przed myślami, że może być dla Denvera ciekawostką, kimś innym, kim miał ochotę pobawić się przez chwilę. Nie wydawał się jednak być tego typu mężczyzną. Ale przecież nie podejrzewała również o to Philipa.

Weszła do kuchni i zobaczyła Denvera stojącego nad kuchenką z łyżką w dłoni. W rondelku skwierczały trzy paszteciki. Obok stała taca z rozłożonymi na papierowych talerzykach bułeczkami do hamburgerów, miseczka chrupek ziemniaczanych, talerzyk pikli z pociętymi pomidorami i cebulą. Denver zdążył bardzo dużo zrobić przez tę chwilę, gdy była w łazience.

- Pachnie fantastycznie. Jak mogę ci pomóc?

- Uporałem się już ze wszystkim oprócz napoi. Zajrzyj do lodówki i wybierz sobie to, na co masz ochotę. Znajdziesz tam sok, mrożoną herbatę i piwo. Ja poproszę o piwo. Może zjemy na świeżym powietrzu, jeśli nie masz nic przeciwko towarzystwu kilku komarów.

Wyjęła dwie puszki piwa i postawiła jedną przed nim. Wzięła z salaterki kawałek ogórka, popiła smak kopru i octu łykiem piwa, potem rozejrzała się.

Podobnie jak inne pomieszczenia w tym domu, kuchnia również była czysta, uporządkowana, zaplanowana bardziej ze względu na wygodę niż wystawny wygląd. Widać było, że ktoś tu mieszka: złożona gazeta na rogu stołu, lista zakupów na blacie, kilka ulotek reklamowych i jakieś ułożone na kupce koperty. Była tam również książka w jasnej oprawie, aktualny bestseller. Denver najwyraźniej lubił beletrystykę.

Pociągnęła łyk z puszki. Poczowała na sobie jego wzrok i obróciła się ku niemu. Wyglądał na rozbawionego.

- O co chodzi? - spytała zaczepnie.
- Muszę zmienić trochę twój obraz w moich myślach. Nie potrafię sobie wyobrazić mojej dawnej nauczycielki historii, panny Frohm, osuszającej puszkę piwa.

Jej podbródek powędrował w górę. Nie po raz pierwszy odkrywała w jego sposobie bycia ślady męskiego szowinizmu.

- Prywatne gusta ludzi nie zależą od zawodu, który wykonują. Lubię piwo. Czyż to nie proste?

„Courtney jest bardzo złożoną kobietą” - pomyślał Denver. By sprowokować ją do dalszej rozmowy, zapytał:

- Kiedy zaczęłaś pić piwo?
- To ulubiony napój mamy. Bywa, że jedynie to ma pod ręką. Piwo zastępuje lemoniadę i wodę. Amber i ja lubimy od czasu do czasu napić się piwa razem z mamą. Crystal nie ma takiego zwyczaju.

Nie zdziwiło go to. Chłodna Crystal wolała na pewno napoje o bardziej wyrafinowanym smaku.

- Nigdy nie mówisz o swoim ojcu ani o żadnym z ojcymów. Dlaczego?

- Po rozwodzie z moim ojcem matka miała tylko jednego męża, ojca Amber. Nie widywałam ani mojego ojca, ani Frasera Childsa zbyt często.

- Dlaczego?

- Rzadko byli w pobliżu. Mama również. Praca zmuszała ją do ciągłych wyjazdów, a jej mężowie po kolei rezygnowali z namawiania jej, by była przede wszystkim żoną, a później dopiero piosenkarką.

- Czy dużo podróżowałyście?

- Amber i Crystal jeździły z nią w czasie wakacji.

Nie musiał pytać, dlaczego ona im nie towarzyszyła. Znał odpowiedź. Przebywała często w szpitalach.

Denver wyjął z rondelka paszteciki i rozłożył je na bułkach.

- Czy mogłabyś zabrać piwo? Ja zaniosę tacę.

Kamienny taras ciągnący się na całej długości domu zamykała z jednej strony przeszklona przybudówka. Początkowo wydawało jej się, że to szklarnia, widziała bowiem wewnątrz jakieś rośliny. Wahadłowe drzwi naprzeciw były otwarte. Dobiegał stamtąd odgłos bulgoczącej i pieniającej się jak w kotle wody. A zatem to nie szklarnia, ale podgrzewana łazienka.

Denver postawił tacę na kwadratowym stole i podsunął dla niej krzesło. Zanim usiadł, zapalił lampę sztormową stojącą na środku stołu. Podał dziewczynie talerzyk.

Obserwując, jak nakłada plasterki cebuli i pomidora na hamburgera, pomyślała, że jest on bardzo naturalny w tym skomplikowanym świecie. Nie starał się za wszelką cenę zrobić na niej wrażenia, jak inni mężczyźni, wymyślnym posiłkiem lub wystawnym stylem życia. Denver był od nikogo niezależny i żył w swoim własnym świecie. Można go było brać jedynie takim, jakim jest. Mimo iż spędziła z nim tak niewiele czasu, nie potrafiła już wyobrazić sobie, że powie mu „do widzenia”. I na tym właśnie polegało niebezpieczeństwo. Ugryzła hamburgera, patrząc na trawę przed tarasem. Była zaskoczona rozległością posiadłości Denvera.

Większości nowych domów przyznawano małe skrawki ziemi, by osiągnąć większe zyski. Jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Wykupiłem przyległe działki, aby nikt na nich się nie budował.

- Skąd wiedziałeś, że o tym właśnie myślałam?

Denver ucieszył się w duchu, że dziewczyna odwróciła uwagę od terenu wokół domu i popatrzyła na niego. Było zbyt ciemno, aby mogła zobaczyć wbite w ziemię paliki, odgradzające część przeznaczoną pod budowę basenu. Był gotów wyznać, że chce zbudować dla niej basen, wiedział jednak, że nie była jeszcze przygotowana na taką wiadomość. Wzruszył ramionami.

- Bardzo wiele mówią twoje oczy.

Courtney patrzyła na niego przez chwilę, wsłuchując się w niską, zmysłową barwę jego głosu. Nie podobało jej się, że potrafił tak łatwo odczytać jej myśli, gdy ona tego zupełnie prawie nie potrafiła.

- Powiedz mi o nożu. Zawahała się przez moment.

- Czasami zdarzają się uczniowie, którzy chcą dać coś do zrozumienia nauczycielom.

Zamiast żywych żab, zamykanych w szufladach biurka, pinesek podkładanych na krzesła, zdobywają się na bardziej wymyślne dowcipy.

- Scyzoryka nie nazwałbym dowcipem. Co powiedział dyrektor, gdy mu to zgłosiłaś?

- Nie zgłosiłam. - Widząc, jak zaciska szczęki, pospieszyła z wyjaśnieniem: - Ani

tego, ani listu i telefonu. To głupie próby zastraszenia...

- Jakiś uczeń zostawił ci list z pogrózkami? Westchnęła cicho.
- Tak. Za wycieraczką mojego samochodu. De-nver, to nie jest...
- Czy zadzwonił do ciebie do domu?
- Tak. Tylko raz. Ja...
- Co powiedział?

• Któryś z uczniów boi się, że nie zda egzaminu i zamiast zabrać się solidnie do nauki, próbuje mnie nastraszyć i wymusić, bym dała łatwy test. Powinien był zorientować się w ciągu roku, że nie ze mną te numery.

Nogi odsuniętego gwałtownym ruchem krzesła zaszurały po kamiennej posadzce. Denver wstał. Cofnął się o dwa kroki, odwrócił się do niej.

• Do diabła, Courtney, będąc tak inteligentną kobietą, zachowujesz się naprawdę głupio. Co się jeszcze musi stać, abyś zrozumiała, że to nie zabawy, tylko groźby?

• Ten uczeń starał się mnie jedynie przestraszyć - powiedziała cicho. - Nikt nie zrobił mi żadnej krzywdy. Poza tym, szkoła już się skończyła. Egzamin się odbyły. To już koniec całej sprawy.

• Czy mam się z tego powodu lepiej czuć? Fakt, że nie wyrządzono ci krzywdy nie oznacza, że nie może spotkać cię to w przyszłości. Ten uczeń zna twój samochód, numer telefonu i prawdopodobnie wie, gdzie mieszkasz. Czy słyszałaś kiedykolwiek

o czymś takim jak zemsta? Zdarzały się morderstwa z bardziej błahych powodów.

Dzieciak może pomyśleć, że to ty, a nie jego nieuctwo jest powodem, dla którego oblał egzamin, zwłaszcza, jeśli dadzą mu popalić w domu.

Courtney nachodziły podobne myśli, mówiła sobie jednak wtedy, że to początki paranoi.

- Przebite nożem jabłko było ostatnim ostrzeżeniem. Test został już...

Gdy tym razem jej przerwał, głos miał spokojny, absolutnie spokojny.

• Pominęłaś ten maluteńki drobiazg celowo, prawda? Jest pewna różnica między znalezionym na biurku scyzorykiem a przebitym nim jabłkiem.

• Nie wiem, co cię tak poruszyło, Denver. Nic się nie stało i nic się nie stanie.

Wrócił do krzesła, zacisnął palce na jego oparciu

I spojrzął na dziewczynę.

- A gdyby twój niemal dwumetrowy wychowanek zechciał cię zaatakować? Gdyby tak czekał na tylnym siedzeniu twojego samochodu? Albo podszedł, gdy zostałabyś sama w klasie? - Na dźwięk własnych słów przebiegły go ciarki. Strach o nią spowodował, że teraz głos brzmiał bardziej twardo, niż tego chciał. - Z powodu kłamry na nodze jesteś w takiej sytuacji bardziej bezbronna niż inne kobiety. Może ci się to nie podobać, ale wiesz, że to prawda.

Czuła, jak krew odplywa jej z twarzy. Miał rację, ale wcale nie było jej przez to łatwiej go słuchać. Obraził bowiem jej dumę. Zastanawiając się nad każdym ruchem, podeszła do niego.

- Masz zupełną rację. Powinnam była poinformować policję, wynająć ochronę i zamknąć się w domu na resztę życia.

W oczach Denvera pojawił się ogień, nie miała jednak ochoty na odgadywanie jego uczuć. Chciał podejść do niej, ale wyciągnęła ostrzegawczo rękę.

- Dziękuję, nie potrzebuję pomocy - powiedziała z godnością. - Może nie będę w

stanie uciec przed terroryzującymi mnie nastolatkami, ale chodzenie nie sprawia mi kłopotu.

Czekało ją jednak jeszcze jedno upokorzenie, gdy, jakby zaprzeczając własnym słowom, potknęła się o lekko podniesioną krawędź płyty. Prawdopodobnie by się przewróciła, gdyby Denver nie pospieszył z pomocą. Pomógł jej złapać równowagę i wziął ją w objęcia.

- Wszystko w porządku? - spytał. Odepchnęła go.

• Idealnie. Nic tak nie przywraca zmysłów, jak cudem uniknięty upadek.

• Nie chciałem cię urazić. Powiedziałem to, bo nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby cię skrzywdzić. W rezultacie sam cię zraniłem. Przykro mi.

Coś ścisnęło się boleśnie w jego piersi, gdy patrząc w oczy dziewczyny, dostrzegł jej wewnętrzną walkę. W obawie o bezpieczeństwo Courtney, rzucił bez zastanowienia słowa, które tyle ją kosztowały. Wszystko, czego pragnął, to mocno ją przytulić, by zapanowała między nimi zgoda. Wiedział jednak, że była to ostatnia rzecz, na którą zgodziłaby się w tym momencie .

• Nie masz za co przepraszać - rzekła. - Nikomu nie powinno być przykro, gdy mówię prawdę. Nie mogłabym uciec od kogoś, kto chciałby mi wyrządzić fizyczną krzywdę. - Jej głos stał się mocniejszy, bardziej zdecydowany. - Nie znaczy to jednak, że jestem bezbronna. Mogłabym się obronić dzięki lekcjom samoobrony, na które posłała mnie matka. Z przyjemnością zademonstruję ci moje umiejętności, jeśli mnie nie puścisz.

• Zaryzykuję - powiedział cicho. - Spełnię każde twoje życzenie prócz jednego. Nie pozwolę ci odejść. Martwię się o ciebie, Courtney, może bardziej, niż byś chciała, jednak nie zmienia to moich uczuć.

Mimo, że tak jak ostrzegwała, mogłaby go zmusić, aby ją puścił, nie zrobiła tego. Przypomniały jej się słowa wypowiedziane kiedyś przez matkę: „gdy jesteś tak wściekła na mężczyznę, że masz ochotę go trzepnąć, zapragnij go pocałować, a wszystko się wyjaśni - jesteś zakochana”. Courtney opuściła ramiona. Denver, nie kiwnąwszy palcem, przełamał jej opór i sprawił, że się w nim zakochała. To odkrycie ogłuszyło ją. Nie wiedziała, jak to się stało i dlaczego. Potrzebowała chwili samotności, by to przemyśleć. Popatrzyła na drzwi.

- Chciałabym pojechać już do domu. Jak na jeden wieczór wydarzyło się już dla mnie wystarczająco dużo. Bójka na zakończenie wydaje się nawet bardzo odpowiednia.

Potrząsnął głową.

- Nie teraz. Musimy rozwiązać tę sprawę, nawet gdyby miało to zabrać całą noc.

Nim zdążyła zaprotestować, usłyszała stukanie do drzwi. Mimo znacznej odległości było tak głośnie, że ktoś musiał chyba uderzać w nie pięścią.

- Jeśli to Phoenix z tą cholerną kozą - powiedział Denver - niech się lepiej przygotuje dojazdy na pogotowie.

W kilka minut później okazało się, że właśnie tam przebywa obecnie brat Denvera.

Courtney otworzyła szeroko oczy, gdy na taras wkroczył umundurowany mężczyzna z pistoletem przy pasie.

- Stan Jones - przedstawił go Denver. Policjant skinął uprzejmie głową. Courtney przeniosła wzrok z Denvera na policjanta i ponownie na Denvera. Wyraz ich twarzy w żaden sposób nie pomógł jej odgadnąć, o co chodzi. Denver powstrzymywał wybuch śmiechu.

- Czyżbyś nie zapłacił za parkowanie? - spytała.

Starając się opanować śmiech, odpowiedział:

- Stan jest moim przyjacielem. Był właśnie w pogotowiu, gdy przywieziono tam Phoenixa i jego dziewczynę. Pomyślał, że powinien mnie o tym zawiadomić.

- Co się stało? Czy mieli wypadek samochodowy? Policjant parsknął śmiechem.
Zbita z tropu

Courtney spytała:

- Co się stało z Phoenixem? Denverowi udało się przemóc rozbawienie.

- Jak wywnioskował Stan, Phoenix zapomniał portfela, wrócił więc razem ze swoją dziewczyną do domu. Zgadnij, które pomieszczenie w jego domu chciała obejrzeć?

-1 spotkała Chanel - domyśliła się Courtney. Policjant wyglądał na zaskoczonego.

- Chanel to imię kozy - wyjaśnił Denver.

Stan roześmiał się. Jako, że żaden z mężczyzn nie spieszył z informacjami, Courtney zaczęła znów się dopytywać:

- Dlaczego oni znaleźli się w pogotowiu? Stan spojrzął na Denvera i widząc, że przyzwalająco kiwnął głową, opowiedział całą historię:

- Najwyraźniej kobieta przestraszyła się znalezionej w łazience kozy i krzyknęła.

Phoenix wpadł do łazienki w momencie, gdy ona chciała z niej uciec. Zderzyli się w drzwiach. Dziewczyna pośliznęła się na pewnym... hm... prezencie pozostawionym na podłodze przez kozę. Upadła i uderzyła się

w głowę, a Phoenix zwiczył sobie chyba nogę w kostce. Oboje czekali na prześwietlenie, gdy ich opuszczałem.

- To nie jest nic zabawnego - powiedziała Courtney, siląc się na powagę. Nie chciała spojrzeć na Denvera obawiając się, że on również może mieć podobne kłopoty z opanowaniem śmiechu.

Policjant wyciągnął dłoń.

• Oddaję teraz sprawę w twoje ręce, Denver. Uważaj, brat nie jest teraz najszcześliwszym facetem.

• Wyobrażam sobie.

Denver odwrócił się, by odprowadzić przyjaciela do drzwi, ale ten potrząsnął przecząco głową.

• Nie. Nie trzeba. - Kiwnął głową na pożegnanie i rzekł do dziewczyny: - Miło było mi panią poznać.

• Proszę o tym pamiętać, gdy złapie mnie pan na przekraczaniu prędkości - powiedziała z uśmiechem.

Policjant także uśmiechnął się i wyszedł. Denver stał przez chwilę, patrząc na nią. Nie wspomniał nic o wyjeździe do szpitala, sama więc zaproponowała:

• Nie martw się, co ze mną zrobić. Wiem, że chciałbyś jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Mogę zadzwonić po taksówkę.

• Lepiej, żebyś pojechała tam razem ze mną. To częściowo też twoja wina.

- Chcesz zabrać mnie ze sobą, by Phoenix nie mógł zamordować cię przy świadkach.

- To też się liczy.

Podnosząc torebkę i kurtkę, przypomniawszy sobie przerwana kłótnię. Odwróciła się .

- Jestem wciąż zła na ciebie.

- Wiem. Nie obwiniam cię. Jestem zły na siebie. Pomógł jej włożyć kurtkę, po czym przyciągnął

blisko i przytulił. Gdy jego chciwe wargi dotknęły jej ust, zapomniała o wszystkim.

- Nie przekreślaj mnie. Daj szansę naprawić wszystko między nami.

Czekał. Uświadomiła to sobie, spotkawszy jego skupiony wzrok. Powinien być w drodze do szpitala, a czekał na jej odpowiedź.

- Dobrze - odparła. - Jeśli brat nie zabije cię dzisiaj, to szansa istnieje.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz, oczy rozbliły radością i czymś jeszcze, czego nie umiała nazwać. Chwycił ją za rękę i poprowadził ku drzwiom. Nagle zatrzymał się gwałtownie.

- Do diabła! - krzyknął.

- Co takiego?

- Jeszcze jeden drobiazg, o którym powinienem być ci powiedzieć.

Westchnęła głęboko.

- O co chodzi? Również westchnął.

- Nie spodoba ci się to.

- Denver, co się znowu stało?

- Ta kobieta u Phoenixa... Ta, która przewróciła się w łazience.

- Co z nią?

- To twoja siostra Amber.

ROZDZIAŁ VII

„Amber i Phoenix! Wielkie nieba, jak do tego mogło dojść?” Courtney zastanawiała się nad tym po drodze do szpitala. Rozumiała teraz, dlaczego ta dziewczyna skierowała pierwsze kroki do łazienki. Idąc obok Denvera, rzuciła mu krótkie spojrzenie. Nie zdziwiła ją zmarszczka niepokoju na jego czole. Policjant opisał stan, w jakim znajduje się brat. Choć Denver wściekał się na jego irytujące kawały, kochał go i martwił się teraz. Rozumiała go doskonale. Podobnie sama lękała się o zdrowie siostry. Czuła również wyrzuty sumienia. Zamknięcie kozy w łazience na początku mogło się wydać niezłym pomysłem, teraz to jednak przestało ją śmieszyć. Zbliżając się do drzwi poczekalni, usłyszeli wrzawę.

- Dziś wieczorem musiała być jakaś niesamowita impreza - powiedział.

Powodem zamieszania była jednak nie impreza, a Amethyst. Ubrana w białą bluzę z frędzelkami zdobiącymi rękawy oraz dekol, trzymała straż w poczekalni. Najwyraźniej wieści rozchodziły się bardzo szybko, skoro piosenkarka była już w szpitalu. Prócz zaferowanych pojawieniem się gwiazdy pacjentów w poczekalni tłoczyły się pielęgniarki w śnieżnobiałych fartuchach, pracownicy saloperacyjnych w zielonych uniformach oraz kobieta w jasnym kitlu, przyciskająca do obfitego brzuszka tabliczkę z notatkami.

Courtney domyśliła się obecności jednego czy dwu doktorów w tłumie. Zastanawiała się, czy wystarczyło personelu do zajęcia się chorymi.

Amethyst dostrzegła ich, zamachała dłonią. Tłum rozstał się jak Morze Czerwone, gdy skierowała się ku córce. Mimo niemal dziesięciocentymetrowych obcasów Amethyst musiała wspiąć się na palce, by ją objąć. Śmiała się wesoło i patrzyła pogodnie na Courtney.

- Czy nie widziałas jeszcze tytułów prasowych: „Klejnot Południa zaatakowany przez niosącą śmierć kozę”?

- Jak ona się czuje?

- W porządku. Mały guz na głowie, to wszystko. Bardziej narzeka na ohydny

szpitalną tunikę, którą kazali jej nosić w czasie badań. Gdy weszłam kilka minut temu, by ją zobaczyć, już rozdawała autografy.

Amethyst przeniosła uwagę na Denvera, wznosząc się na palce, by poklepać go po policzku jak sześciolatniego chłopca.

- Rozchmurz się. Z twoim bratem wszystko w porządku. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała z figlarnym błyskiem w oczach: - Jest jednak ciut zirytowany. Czy naprawdę wsadziłeś mu do łazienki kozę?

- Obawiam się, że tak. Gdyby chciał mi przyłożyć, jesteśmy w punkcie medycznym.

- Pójdę z tobą - rzekła Courtney. - Jako współnik tej zbrodni. Jeśli zapragnie komuś przyłożyć, to będzie miał nas dwoje.

- Troje. - Wsuwając się między nich, Amethyst wzięła ich pod ręce. - Chodźcie, dzieci. Pokażę wam, gdzie ich szukać.

Spodiewając się wybuchu Phoenixa, Courtney towarzyszyła spotkaniu braci. Amethyst opuściła ich, by dotrzymać towarzystwa Amber.

Phoenix powitał ich szerokim uśmiechem. Jego włosy były krucze jak u brata, tylko oczy miały ciemniejszy odcień szarości. Był też nieco drobniejszej budowy. Jednak podobieństwo do Denvera było uderzające. Najwyraźniej zbuntował się przeciw noszeniu szpitalnego ubrania. Jedynym ustępstwem, na jakie poszedł, była rozpięta koszula i nogawka spodni zrolowana na wysokość kolana. Lewą stopę owinięto mu elastycznym bandażem. Gdy Denver odsunął kotarę, Phoenix powiedział wesoło:

- Najwyższy czas, abyś się pojawił, ty synu... - Zakrył usta dłonią, gdy zobaczył Courtney. Wyprostował się, przyjrzał uważnie dziewczynie i spytał: - Czy to ona?

Denver skinął głową, wymieniając z nim niezrozumiałe dla Courtney spojrzenie. Przesunął ją przed siebie, opierając dłonie na jej ramionach.

- Courtney, to jest mój brat. Nie podawaj mu ręki na powitanie. Z pewnością przytrzymał się do niej zabawkową syrenę.

Phoenix obruszył się.

- Nie nabierałbym na to twojej pani. Poza tym, nie mam żadnej przy sobie. Miło mi poznać cię, Courtney, choć wolałbym, by towarzyszyły temu inne okoliczności. Nie będzie mi lekko odpokutować ten wybryk.

Denver spojrzał na stopę brata.

- To złamanie czy skręcenie?

- Tylko skręcenie. Będę musiał uspokoić się na kilka dni. Mam nadzieję, że to was uszczęśliwi. Przyjdzie mi tkwić teraz w biurze nad tą przeklętą papierkową robotą, do której usiłowałeś mnie zmusić.

- Dobrze ci to zrobi. Może się najpierw zastanowisz, zanim znowu zechcesz ulokować w mojej ciężarówce jakieś zwierzę.

Courtney musiała zadać to pytanie:

- Gdzie jest Chanel? Mam nadzieję, że nic jej się nie stało, kiedy ty i Amber mieliście ten wypadek.

Phoenix zamrugał oczami.

- Kto to jest Chanel?

- Koza - odparł Denver.

Phoenix otworzył ze zdziwienia usta.

- Nazwała kozę Chanel?

- Dopiero gdy spryskała ją perfumami.

- Perfumami?

Courtney podjęła kolejną próbę.

- Czy ona została w twoim mieszkaniu? Potrząsnął głową.

• Nie. Jest u dozorczy. Prawdopodobnie przeżera teraz jego majątek. Zwrócę ją jutro farmerowi, od którego ją pożyczyłem.

• Przykro mi, że stała się krzywda tobie i Amber - powiedziała Courtney i zaraz dodała, nie chcąc, aby Phoenix był wciąż zły na brata: - To był mój pomysł z zamknięciem kozy w łazience. Denver nic tu nie zawinił. Jedynie był tam razem ze mną. Phoenix przyglądał jej się przez chwilę, po czym spojrzął na brata. Uśmiezek igrał mu na wargach. -1 to jest twój kłopot.

Nie poruszony ostrzeżeniem Denver skinął głową.

- Tak. Wiem.

Kotara odsunęła się i Amethyst z Amber wsunęły się do środka, zajmując ostatni skrawek wolnej przestrzeni. Kwiatowa woń walczyła w powietrzu ze szpitalnym zapachem. Amber najwyraźniej odzyskała skład kosmetyków, który zawsze nosiła przy sobie. Znalazła również opaskę i zawiązała ją wokół głowy, by ukryć najmniejsze nawet ślady potłuczenia. Uśmiechnęła się kokieteryjnie do Phoenixa.

- Och, umiesz wspaniale zabawić dziewczynę. Czy spróbujemy jeszcze raz? Zobaczmy, kto wygra w trzeciej rundzie.

Phoenix roześmiał się.

- Jestem gotów. Wciąż winny jestem ci obiad.

Pielęgniarka chrząknęła znacząco.

• Przepraszam, że przeszkadzam, pani Rand -wyjąkała - ale pani córka i... hm, dżentelmen są już wolni.

• Dziękuję - powiedziała Amethyst. - Wszyscy byliście cudowni. Proszę przekazać moje podziękowania dla całego personelu.

• Oczywiście - odrzekła z zapalem pielęgniarka, po czym wyciągnęła trzymany w ręce notes. — Czy zechciałaby pani dać mi swój autograf, pani Rand? Inaczej mój mąż nigdy mi nie uwierzy.

• Jasne - odparła Amethyst, szukając pióra. Odczytując imię na identyfikatorze pielęgniarki, spytała: - A jak nazywa się twój mąż, Millie?

• Randy - odpowiedziała i nieco pewniej popatrzyła na Amber. - Czy mogłabym również panią o to poprosić? Mój mąż jest pani fanem.

Gdy podpisy zostały już złożone, pielęgniarka zwróciła się do Courtney:

• Czy pani również jest kimś znanym? Courtney powstrzymała wybuch śmiechu.

• Obawiam się, że nie.

- Ona zajmuje się w tej rodzinie kozami - powiedział Phoenix.

Wszyscy, oprócz Millie, wybuchnęli śmiechem. Zdziwienie pielęgniarki dodatkowo ich rozbawiło.

Opuszczenie budynku pogotowia zabrało im trochę czasu, bowiem wieść o pobycie kilku sław szybko się rozniosła. Denver próbował pomóc bratu przedrzeć się przez tłum, osłaniając równocześnie Courtney, by nie zgnieciono jej w ścisku. Amber i Amethyst ugrzęzły w tłumie fanów. Denver przytrzymał otwarte drzwi, Courtney wyszła przed Phoenixa, pozostawiając mu dużo przestrzeni do manewrowania kulami. Wtedy dostrzegł, że dziewczyna utyka.

- Cóż to, czyżby epidemia? Kulejesz? Czy również odniosłaś jakieś obrażenia?

Bez zastanowienia rzuciła mu szybką odpowiedź:

- To wyraz współczucia.

Denver popatrzył na nią, nie powiedział jednak ani słowa. „Później o tym porozmawiamy” - pomyślał, a głośno powiedział:

- Poczekajcie tutaj. Skoczę po wóz. Dziewczyna powstrzymała go.
 - Nie będzie mnie tutaj, gdy wrócisz. Jadę do domu z mamusią i Amber.
- Zastygł w bezruchu i patrzył na nią przez chwilę.
- Dlaczego?

Usłyszawszy twardą nutę w głosie brata, Phoenix odkuśtykał na bezpieczną odległość. Choć Denver podszedł onieśmielająco blisko, dziewczyna nie cofnęła się.

- Masz chyba wystarczająco dużo powodów do radości, jak na jeden wieczór. Spędzę noc na plantacji. Phoenix potrzebuje cię teraz.

- Ależ musimy porozmawiać. Zostawiliśmy zbyt wiele nie rozstrzygniętych kwestii.
- Może właśnie w tym punkcie należałoby to przerwać.

Nie dotknął jej. Nie śmiał. Bał się, że zechce silniej nią potrząsnąć. Był zmęczony, głodny, nie zaspokojony fizycznie, ogólnie, w nie najlepszej kondycji do dyskusji. Czuł jednak, że była to jego jedyna szansa.

- To nie ma sensu, Courtney. Nie możesz wciąż omijać przeszkód, uciekać, gdy piętrzą się przed tobą problemy, nie próbując stawić im czoła.
- Nie uciekam - odparła ze złością.
- Czyżby? A jak nazwiesz udzieloną Phoenixowi odpowiedź? Mogłaś być z nim szczerą. Nie umiesz przyznać się, prawda? Nie potrafisz być szczerą nawet wobec siebie. Wydaje mi się, że wszyscy akceptują twoją klamrę prócz ciebie samej. Pragnę cię w moim życiu, w moim łóżku, nie ukrywającą się za klamrą i dawnym nieudanym związkiem. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, uciekłaś ode mnie i nadal uciekasz. Chowasz się w wilgotnych piwnicach, zakopując się po uszy w starych książkach. Nie chcesz przyznać się publicznie do pokrewieństwa z Amethyst Rand. Nawet dziś wieczorem byłaś gotowa opuścić mój dom, gdy powiedziałem coś, co ci się nie spodobało, zamiast zostać i walczyć. Niektóre rzeczy są warte tego, by o nie walczyć. Musisz zdecydować, co jest

dla ciebie na tyle ważne, by wejść na ring i naciągnąć bokserskie rękawice. - Objął ją i szybko pocałował. Gniew mieszał się w nim z pożądaniem. Trzymając mocno ręce na jej ramionach, odsunął dziewczynę od siebie. - Powiedz mi choć, czy kiedyś zdecydujesz się przyznać, że jestem właśnie tym, kogo szukasz.

Courtney zaniemówiła. Właśnie z budynku wyszła siostra z mamą.

- Chodźcie, dzieci - powiedziała Amethyst. - Wydostańmy się stąd, zanim któraś z tych przemitych pielęgniarek poinformuje prasę. - Zwróciła się do braci: - Proponuję wam obu zimne piwo i życzę dobrego snu. Później powinniśmy się umówić na przyjacielską pogawędkę, jeśli interesujecie się moimi córkami. Wykończę się, jeżeli każda wasza randka będzie oznaczała dla mnie wycieczkę do szpitala. - Uniosła dłoń, przywołując z parkingu ciemną limuzynę.

Courtney, usadowiwszy się na tylnym siedzeniu, odwróciła się. Denver stał obok brata z rękami wcisniętymi w kieszenie i patrzył na oddalający się samochód. Gdy zniknął jej z oczu, opadła na fotel i westchnęła ciężko. Był to wieczór, którego nigdy nie zapomni. Wciągnęła po schodach kożę, zjadła dwa kawałeczki hamburgera, wzięła udział w sporze, odwiedziła szpital i odkryła, że zakochała się w Denverze. A na koniec została przez tego mężczyznę nazwana tchórzem.

Nie był to z pewnością jeden ze spokojniejszych, pozbawionych wrażeń wieczorów. Siedząc cichutko, podczas gdy Amethyst plotkowała z Amber, Courtney tłumila w sobie ból i złość, wywołane słowami Denvera. Starła się obiektywnie spojrzeć na to wszystko, ale trudno jednak było zdobyć się na obiektywizm. Denver dotknął jej czułych punktów. Słowa uderzyły ją tak boleśnie dlatego, że miał rację. Nie chciała się przyznać ani przed nim, ani przed sobą, że unikała bliskich związków, wszelkiego typu zażyłości, bojąc się odtrącenia. Teraz uprzytomniła sobie, że zawsze postępowała w ten sposób. Dowcipy, którymi się odcinała, były jej płaszczem ochronnym. Unikanie publicznego rozgłosu to kolejny środek ochrony własnej osoby.

Wpatrzona w okno, nie dostrzegała ciemnego krajobrazu ani rozbłyskujących świateł. Zastanawiała się, skąd weźmie odwagę na wyjście z ochronnego kokonu, którym się owinęła. Nie mogła nawet obwiniać Philipa. Nie podobało jej się to, co jej powiedział, był jednak z nią szczery. Bardziej niż ona sama ze sobą. Przymknęła oczy. Nagle uderzyła ją myśl jak grom. Zawsze skrycie wstydziała się swego kalectwa. Możliwe, że zaczęło się to, gdy była dzieckiem. Lekarze i pielęgniarki podnosili wokół niej ogromną wrzawę. Nauczyciele zamęczali ją wyrazami współczucia. Rówieśnicy drwili i dokuczali. Wyrzuty sumienia, które do-

136 strzegą w oczach ojca w czasie jego rzadkich wizyt, nie podbudowywały poczucia własnej godności.

Kiedy poznała Denvera, zajęła pozycję obronną. Wiedziała bowiem instynktownie, że jest jedynym mężczyzną, mogącym przełamać jej izolację. Teraz obwarowania runęły. Czowała się słaba i zupełnie bezbronna. Mogła albo ponownie odbudować chroniący ją mur, albo rozpocząć nowe, prawdziwe życie bez żadnej fałszywej maski. Pierwsze wyjście było dużo prostsze, tak bowiem dotąd postępowała. Drugie wydawało się trudniejsze i wymagało dużo więcej odwagi, niż Denver jej przypisywał. Zwracając się od matki, zapytała:

- Kiedy będzie ten koncert na rzecz dzieci niepełnosprawnych, w którym śpiewacie z Crystal i Amber?

- W czwartek w Nashville. Odlatujemy w poniedziałek. Dlaczego pytasz?

- Chciałabym pojechać razem z wami.

- W porządku - rzekła Amethyst, spoglądając na córkę ze zdziwieniem.

Denver siedział oparty na łóżku, gdy zadzwonił telefon. Była pierwsza w nocy. Westchnął ze znużenia. Jeśli to znowu Phoenix, to rzuci czymś ciężkim. Powinien był zostać z nim albo zabrać go do siebie. Po rozmowie z Courtney wołał być jednak sam. Telefon nie przestawał dzwonić.

- Co znowu? - warknął w słuchawkę. Odpowiedziało mu milczenie.

- ...Denver? - usłyszał po chwili głos Courtney.

- Courtney?

- Wiem, że jest już bardzo późno, ale...

- Nie jest wcale tak późno - odpowiedział, przekonany, że mówi prawdę. Dla nich nie było jeszcze zbyt późno.

- Mam ci coś do powiedzenia, ale proszę, nie przerywaj.

Denver przestraszył się, że dziewczyna nie życzy sobie widzieć go więcej.

- Dobrze. Nie będę przerywał - obiecał z trudem. Usłyszał, jak wzięła głęboki wdech.

- Wyjeżdżam jutro do Nashville na kilka dni, ale to nie jest ucieczka, choć może na to wyglądać. Mam tam kilka rzeczy do zrobienia. Potrzebuję też chwili zastanowienia.

Będzie to i dla ciebie okazja do przemyśleli. Potrzebujesz kogoś bez takich problemów jak moje, kogoś, kto nie skomplikuje ci życia swą sławną rodziną i kalectwem. Kogoś normalnego.

- Brzmi to raczej nudno.
- Przerywasz.
- Przepraszam.
- Zadzwoń po powrocie. Jeśli oczywiście będziesz chciał mnie jeszcze zobaczyć. - Zamilkła na chwilę. Gdy długo nie odpowiadał, spytała niepewnie: - Denver, czy słuchasz mnie?
- Tak, słucham. Nie zorientowałem się, że skończyłaś.
- Czuł się jak człowiek, któremu odroczone karę śmierci.
- Oczywiście, będę chciał cię zobaczyć, gdy wrócisz, moja ty wariatko. Tylko nie zwlekaj z tym zbyt długo, dobrze?
- Dobrze - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

W czwartkowy wieczór Denver chodził nerwowo po mieszkaniu Phoenixa, który siedział na tapczanie z nogą opartą na stoliku i oglądał telewizję.

• Czy byłbyś tak łaskaw i przestał się kręcić? - powiedział zirytowany nerwowym zachowaniem brata. - W ten sposób jedynie wydeptujesz dywan i szarpiesz mi nerwy. Dlaczego nie zadzwonisz do niej do Nashville? Może jest w domu. Pojedź tam i zaczekaj przed jej domem albo wymyśl coś innego.

• Już tam byłem. Pojechałem też kilka razy na plantację. Zostałem jedynie psa Courtney i parę pracującą dla Amethyst. Powiedzieli, że panie nie wróciły jeszcze z Nashville.

Phoenix przebiegał palcami po pilocie, zmieniając telewizyjne kanały.

- Wróci. Powiedziała, że wróci. Będziesz mógł wtedy z nią porozmawiać. Wszystko się między wami ułoży.

Denver opadł na krzesło, wyciągając długie nogi.

- Cholera - jęknął. - Nie powinienem był wybuchnąć na nią tak wtedy w szpitalu. Ukryła się znowu przede mną i nigdy już jej nie znajdę.

- Patrz! - krzyknął Phoenix, wskazując na telewizor.

Właśnie informowano o koncercie na rzecz dzieci niepełnosprawnych zorganizowanym w Na-shville. Kamera pokazała grupę wykonawców pośród dzieci poruszających się o kulach lub siedzących na wózkach inwalidzkich. Denver patrzył zahipnotyzowany widokiem Courtney siedzącej obok matki, z małą dziewczynką na kolanach. Na dalszym planie Crystal i Amber rozdawały baloniki. Courtney, podobnie jak jej siostry, miała na sobie czerwoną jedwabną bluzkę, dzinsy i ozdobną drelichową kurtkę. Relacja była bardzo krótka, jednak to, co zobaczył, tak podziałało na niego, że siedział wciąż nieruchomo wpatrzony w ekran, choć pojawiły się na nim już zupełnie inne obrazy.

Ocknął się, słysząc śmiech brata.

- Co cię tak rozśmieszyło? - warknął.
- Ty sam. Szkoda, że nie mogłeś zobaczyć własnej miny. Miałeś równie głupawy wyraz twarzy, jak na urodzinowym przyjęciu Billa Kramera, gdy nagle magik wyciągnął monetę zza twojego ucha.

Denver opadł ciężko na krzesło.

- Powiedz mi, że nie zwariowałem. Powiedz, że widziałeś na ekranie Courtney z

matką i siostrami.

- Widziałem. Wydaje mi się, że ona wcale nie chowa się tak, jak ci się wydaje.
- Zdaje się, że nie.

Przez kilka minut rozważał, co mogło znaczyć to 140 pojawienie się Courtney. Czyżby pokazywała mu w ten sposób, że nie będzie się więcej ukrywać? Miał taką nadzieję. Mógł się też mylić. Bóg jeden wie, czy nie mylił się wcześniej. Był jednak pewien swoich uczuć. Chciał zobaczyć ją, naprawić wszystko. Jak najszybciej.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytał Phoenix. By rozładować rozpierającą go energię, Denver

poderwał się z krzesła i zaczął znowu chodzić po pokoju.

- Czy słyszałeś, gdzie odbył się koncert?
- W Nashville. Wczesnym wieczorem. Nie zdążyła jeszcze wrócić do domu.

Zatrzymał się i spojrzał na Phoenixa.

- Ktoś wie, kiedy będę z powrotem. -Kto?
- Menedżer Amethyst, Tyrell Gilbert. Dała mi numer jego telefonu w razie, gdybym chciał skontaktować się z nią w sprawie plantacji w czasie jej pobytu poza miastem.

Pomagając sobie laską, Phoenix zdjął ze stolika obandażowaną nogę i podniósł się niezgrabnie.

- Chcesz do niego teraz dzwonić? Jest po jedenastej.

Mięśnie zadrgały w twarzy Denvera.

- Będę dzwonił całą noc, jeśli zajdzie potrzeba. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kluczyki do samochodu.

- Idę do biura. Telefony dane mi przez Amethyst

leżą na moim biurku. - Otworzył drzwi, po czym zatrzymał się i spojrzał na brata. - Żadnych numerów, Phoenix. Poruszam się z Courtney jak po cienkim lodzie. Nie chcę, by twoje sztuczki pokrzyżowały mi plany.

Phoenix przykuśtykał do niego i klepnął go po plecach.

- Obiecuję. Możesz mi ufać.
- Słyszałem to już nie raz - mruknął Denver wychodząc.

Na plecach miał przyczepioną kartkę: „UWAGA! Osobnik niebezpieczny dla otoczenia”.

Echo powtórzyło odgłos uderzających o drewnianą podłogę pozurów Beau, gdy zwierzę przeszło przez ogromny salon. Denver równie niespokojnie czekał na przybycie Courtney. Kosztowało go to trochę zachodu, jednak udało mu się wytropić Tyrella i uzyskać potrzebną informację. Courtney zostanie w Nashville do następnego poniedziałku. Potem sama wraca samolotem do domu. Amethyst zostaje, by doglądać nagrywania wideo przez córki.

Denver spędził cztery dni na starannym układaniu planu powitania Courtney. Denerwował się, co też od niej usłyszy po ponad tygodniowym rozstaniu. W poniedziałek dał gospodyni wolny wieczór, a pracownikom zlecił uprzątnięcie po remoncie sali balowej. Samochód zaparkował tak, aby nie rzucał się w oczy. Światło paliło się jedynie w kuchni, gdzie elektrycy kończyli robotę. W salonie stały trzy latarnie. Kryształowe pryzmaciki wiszącego pod sufitem ogromnego żyrandola odbijały ich światło i rozsiewały świetlne refleksy na ścianach i podłodze.

Inspekcja zakończona. Pies podszedł do Denve-ra i usiadł przed nim patrząc, jak

wsuwa kasetę do małego magnetofonu ustawionego na prowizorycznym stoliku. Nacisnął przycisk i muzyka klawi-kordu, fletu i mandoliny wypełniła salę. Spojrzał na Beau.

- Teraz lepiej - powiedział cicho.

Gdy usłyszał zbliżający się samochód, poderwał się, ale pozostał na miejscu, wytężając słuch. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Usłyszał kroki na marmurowej posadzce korytarza. Wziął głęboki oddech i powoli odwrócił się w kierunku drzwi.

ROZDZIAŁ VIII

Zamykając wejściowe drzwi, Courtney automatycznie sięgnęła do kontaktu, światło nie rozproszyło jednak otaczającej ją ciemności.

„Co się dzieje?” - pomyślała.

Najpierw wioząca ją na lotnisko taksówka złapała gumę, przez co o mało nie spóźniła się na samolot. Potem miejsce koło niej zajęła kobieta z dzieckiem, które płakało przez całą drogę. A teraz to światło. Przypomniały jej się słowa mamy, że prąd został odłączony w związku z zakładaniem nowych kabli. Tylko w kuchni nie odłączono światła. Będzie mogła więc przynajmniej przygotować sobie coś do jedzenia. Nie była jednak aż tak bardzo głodna. Pragnęła przede wszystkim pójść do łóżka. Podróż do Nashville bardzo ją zmęczyła. Samo dotrzymanie towarzystwa mamie i siostrze kosztowało ją wiele energii. Towarzystwo Brownie podczas wizyty u doktora i namówienie jej na badania w szpitalu również nie było łatwe.

Oparła się na moment o drzwi marząc, by znaleźć się we własnym domu. Obiecała jednak mamie, że przynajmniej pierwszą noc po powrocie z Nashville spędzi na plantacji, a nie we własnym pustym mieszkaniu. Dziewczyna nie powiedziała, że jeśli nie liczyć gospodyni i ogrodnika, dom mat-144 ki również stoi pusty. Nieobecność Brownie przez kilka najbliższych dni nie gra większej roli. Zostanie więc tu na noc, a rano zabierze Beau do siebie.

Zanim zobaczyła psa, usłyszała, jak biegł na jej spotkanie po marmurowej posadzce. Zwykle pani Gilly nalegała, by pies pozostawał na zewnątrz. Albo udało mu się jakoś zmylić jej czujność, albo mu z jakiegoś powodu ustąpiła.

Pochylając się, Courtney ujęła potężny kark tulącego się do niej zwierzęcia i wplotła palce w jego sierść.

- Też za tobą tęskniłam - powiedziała prostując się.

Dostrzegła w tym momencie przyćmione światło w sali balowej. Usłyszała również dźwięki cichej muzyki. Pomyślała, że robotnicy pozostali dłużej przy pracy. Jednak gdy tydzień temu opuszczała dom, rozlegał się tu głośny rock, a nie tak romantyczne melodie. Możliwe, choć mało prawdopodobne, że pani Gilly urządziła sobie z mężem romantyczny wieczór. Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie tej statecznej pary małżonków tańczących w salonie. Podeszła wolno, światło stało się nieco jaśniejsze. Wszystko, co mogła dojrzeć, to ogołoczone z mebli ściany salonu i stojące na podłodze latarnie. Nagle dostrzegła spokojnie stojącego wysokiego mężczyznę w dżinsach i czerwonej koszuli. Nie wiedziała, dlaczego spotyka go tutaj. Cieszyła się, że go widzi. Dzieliący ich problem nie zniknął, ale nie miał już teraz znaczenia. Denver był tu, ponieważ wiedział, że ona tu będzie. To wystarczyło.

Denver przyglądał się idącej powoli ku niemu dziewczynie. Kostium w muszelkowym kolorze był wymięty, a włosy, zwykle tak starannie upięte, miała nieco potargane. W całej jej sylwetce widać było zmęczenie. Utykała też jakby wyraźniej. Zmęczona, rozczochrana, w wymiętym stroju pozostawała dla niego jednak największą piękną, jaką w życiu widział.

Beau oddalił się od dziewczyny, popędził przed siebie, wśliznął się pod stół, ciężko klapnął i momentalnie zasnął. Pasek skórzanej torebki ześliznął się z ramienia Courtney, zahaczając o kilkakrotnie podwinięty rękaw żakietu. Odkładając na bok torebkę, nie spuszczała wzroku z mężczyzny. Stała kilka kroków przed nim, wciąż patrząc mu w oczy.

- Nie zatrzymuj się teraz - powiedział miękko. - Udało ci się już zrobić ogromny postęp. Zdecyduj się na jeszcze kilka kroków.

Po chwili wahania dziewczyna niepewnie przysunęła się jeszcze bliżej. Z uśmiechem wyciągnął ku niej ramiona.

- Zatańczymy?
- Nie tańczę zbyt dobrze.
- Ja również. Zatańczymy?

W odpowiedzi wtopiła się w jego ramiona. Ob-146 j;ił ją ciasno. Nie zawracał sobie głowy żadnymi klasycznymi pozycjami tanecznymi. Jej delikatne ciało przylgnęło do niego. Westchnął głęboko, stawiając pierwszy niepewny krok. Krew w nim wrzała. Przy każdym ruchu czuł dotyk jej ud. Stawiał drobne kroki, niemal nie odrywając stóp od podłogi. Nie ze względu na jej klamrę, po prostu sam taniec nie miał dla niego znaczenia. Czuł ramiona dziewczyny oplatające jego szyję i bliskość jej piersi.

- Piękna muzyka - szepnęła, a jej ciepły oddech mile połaskotał go w szyję.
- Tak lubisz historię. Pomyślałem, że spodobają ci się osiemnastowieczne melodie.

W geście wdzięczności nachyliła lekko jego głowę, zbliżając usta mężczyzny ku swoim. Rozchyłając wargi, dotknęła jego języka. Nie mógł oprzeć się takiej zachęcie. Przytulił ją mocniej, przysuwając bliżej jej biodra. Dotknął wargami szyi.

- Musimy porozmawiać.

• Porozmawiamy. - Jej głos był niemal tak samo matowy i niski, jak jego. - Pozwól mi najpierw być przy tobie przez chwilę. Tak tęskniłam.

• Kochanie, jeśli pocałujesz mnie jeszcze raz w ten sposób, będziemy przy sobie tak blisko, że nie odgadniesz już granic między nami.

Wstrzymała oddech, słysząc pragnienie w jego głosie. Wolniutko uniosła głowę. Spotykając jego

wzrok, uśmiechnęła się. Krew w jego żyłach zmieniła się we wrzącą lawę.

- W takim razie chyba powinnam cię znów pocałować.

Denver poczuł napięcie całego ciała i bolesną rozkosz uderzającą do głowy jak najwspanialsze wino. Pragnie go! Nie udało jej się skryć tego pod idealną woalką samokontroli, którą Denver uchylił w momencie pojawienia się dziewczyny w drzwiach sali balowej. Jego głód nie był silniejszy od pragnienia pewności, że dziewczyna zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

- Czy jest to jedna z rzeczy, na których przemyślenie potrzebowałaś czasu? Czy mamy zostać kochankami?

Odchylając głowę, by móc mu się lepiej przyjrzeć, przesunęła włosami po jego ramionach.

- Tak, ale nie z powodów, o których myślisz.
- Powiedz więc, proszę.

Zatrzymała się w tańcu i przeniosła ramiona z jego szyi na klatkę piersiową. Czują, jak szybko bije mu serce. Jego odpowiedź dodała jej odwagi.

- To, czy zostaniemy kochankami, nie zależy wyłącznie ode mnie. Abyś ty również mógł dokonać wyboru, powinieneś wiedzieć, dlaczego mogę nagle ostygnąć w najgorętszym momencie. Właśnie tym się martwiłam. - Opuściła wzrok na dłonie, potem znowu spojrzała mu w oczy. - Nigdy jeszcze nie spałam z mężczyzną.

Denver, przyglądając się uważnie dziewczynie, dostrzegł bezbronność w jej oczach. Mówiła o swojej czystości jak o rzeczy godnej wstydu raczej niż czci. Domyslał się, że nie była zbyt doświadczona, jeśli chodzi o seks. Gdyby wiedziała, co czeka ją w jego ramionach, nie potrafiłaby tak długo się powstrzymać. Zamiast ostudzić go, jej słowa podziały jak potężna podnieta. Mógł jedynie zachwycać się, a nie gardzić faktem, że będzie jej pierwszym mężczyzną.

- Czy wierzysz, że nie zrobię ci krzywdy? - spytał.
- To ja powinnam ciebie o to zapytać. Denver z trudem zachowywał spokój, gdy całe ciało garnęło się ku niej. Do jej ciała.

- Pytałem już wcześniej o mężczyznę, który zrobił cię tak nieufną. Czy chciałabyś opowiedzieć o nim teraz?

Była to jedyna dzieląca ich bariera, którą Courtney również chciała przełamać.

- Zaczęłam umawiać się z Philipem w jakieś sześć miesięcy po poznaniu go. Kierował nagraniami wideo mamy, a spotkałam go, odwiedzając mamę w Nashville. Był czarujący, obyty i doświadczony. Obsypywał mnie najmiłszymi słowami, jakie znałam. Były kwiaty, słodczyce, ciche kolacje we dwoje w jego mieszkaniu. Myślałam, że spotkałam księcia z bajki, dopóki Crystal nie powiedziała, że Philip nigdy nie zabiera mnie do miejsc, gdzie moglibyśmy się razem pokazać. Tłumaczy-

łam sobie, że on chce być ze mną sam na sam, aż dowiedziałam się o kobiecie, którą zabierał za sobą do Grammów. Gdy zażądałam wyjaśnień, przyznał, że... odstraszało go moje utykanie. Powiedział dokładnie, że nie chciał, by ludzie współczuli mu, widząc go z kulejącą kobietą. Stwierdził, że możemy nadal spotykać się, ale wyłącznie bez świadków. Wtedy powiedziałam mu, by poszedł sobie, gdzie pieprz rośnie, a on oświadczył, że poświęcił mi masę swojego czasu i chce dostać coś w zamian. Objął mnie.

Denver poczuł, że przerażenie ściska mu gardło. Mimo iż wiedział, że dziewczyna nie została zgwałcona.

- Dokończ - wykrztusił.
- Dla mnie skończyło się to na porwaniu sukienki i kilku siniakach. Dla niego na złamanym nadgarstku i podbitym oku. Nie spodziewałam się, że wykorzystam kiedyś lekcje samoobrony. Tej nocy bardzo mi się przydały.

Denver przymknął oczy. Obraz Courtney walczącej z jakimś draniem był tak żywy, że musiał je otworzyć, by się go pozbyć.

- Uciąłbym sobie rękę, zanim miałbym cię uderzyć. Pragnę cię aż do bólu, wolę jednak poczekać, aż zapragniesz miłości ze mną.

Uśmiechnęła się.

- Skończ już z tą szlachetnością i samoumar-twianiem. Chcę, byś zaniósł mnie po schodach n

górze i kochał się ze mną. Jeżeli mielibyśmy czekać, aż pokonam te przeklęte schody sama, nastałby ranek, a ja nie chcę już więcej tracić czasu. - Zawahała się, po czym dodała: - Myślałam po prostu, że powinienś wiedzieć, dlaczego jestem trochę zde-nerwowana. Pragnę miłości z tobą, ale nie chcę cię rozczarować.

Ujął w dłonie jej twarz.

- Sam czuję się jak sparaliżowany - wyszeptał.
- Dlaczego?

Pochylił głowę i pocałował ją lekko.

- Obawiam się, że nie pragniesz tego równie mocno, jak ja. Że nie spodoba ci się, gdy nie pozwolę ci później odejść. Ostrzegałaś mnie. Teraz ja mam przestrożę dla ciebie. Nie pragnę przygody na jedną noc, eksperymentu, by przekonać się, czym jest miłość fizyczna.

Dotknęła jego policzka.

• Porozmawiamy o tym jeszcze. Nie chcę żadnych „na zawsze”. Jest już zbyt późno dla każdego z nas.

• Dobrze - powiedział pospiesznie schylając się, by ją podnieść. Pocałował ją namiętnie czując, że oszaleje, jeśli szybko nie uczyni jej swoją. Podeszedł z nią do stołu. - Proszę, weź lampę. - Gdy trzymała już lampę w dłoni, skierował się na schody. Na drugim piętrze zapytał: - Który pokój należy do ciebie?

- Drugie drzwi po twojej prawej stronie - wyszeptowała, a serce stukotało jak pędzący po torach ekspres.

Przeniósł ją przez próg. Światło lampy delikatnie rozjaśniło pokój. Zatrzymując się przy stojącym pod baldachimem łóżku, postawił dziewczynę. Obracając się ku niej, zobaczył w jej oczach jedynie namiętność. Nie było w nich najmniejszego śladu obawy czy lęku.

Pomyślał, że musi się opanować, by nie przestraszyć jej swoją gwałtownością. Nie chciał, by na te piękne oczy znowu padł cień. Z fascynacją przyglądał się, jak dziewczyna zrzuca z siebie żakiet, jak jej palce spokojnie odpinają guziczek po guziczku. Nie drgnął, póki Courtney nie wyciągnęła bluzki ze spódnicy i nie pozwoliła opaść jej na dywan. Podeszedł do niej, rozpinając równocześnie własną koszulę. Dostrzegł jej uśmiech, gdy opuściła dłonie na klamerkę paska. Każdy jej ruch był boleśnie powolny i przemyślany. Bzyk zamka wydał mu się nienaturalnie głośny i prowokujący. Drżały mu palce, gdy odpinał zapięcie spodni.

„Doprowadza mnie to do szaleństwa” - pomyślał. Spódnica dziewczyny ześliznęła się w dół i Courtney podeszła do mężczyzny.

Denver pożerał ją wzrokiem. Cienka biała koszulka podkreślała twarde sutki. Przesuwając dłonie po jedwabnej tkaninie ku jej gibkiej talii i szczupłym biodrom, rozkoszował się ciepłem rozgrzanej skóry. Teraz on był przewodnikiem, którego każdy ruch powtarzała. Jęknął z rozkoszy, czując dłonie Courtney wślizgujące się pod koszulę i przesuwające się wzdłuż żeber ku biodrom. Przeklinał tkaninę oddzielającą dłonie dziewczyny od jego skóry.

Poddając się rosnącej żądzy, wpił się w nią głodnymi ustami. Przechylając ją na łóżko, uniósł jej nogę i odpiął klamrę. Dziewczyna zeszywniała. Przesunął dłonie po nodze, gładząc skórę w miejscach, gdzie paski zostawiły ślady lekkiego od-gniewienia. Wyczuł chwilę, gdy Courtney zaczęła poddawać się doznaniom, które w niej wzbudzał. Położył się obok, nie odrywając oczu od jej twarzy.

- Dotknij mnie, Courtney.

Gdy zrobiła to, z ust wydarł mu się nieco chrapliwy szept. Tracił powoli nad sobą kontrolę. Czując jej palce na swoim ciele, zadygotał. Kiedy uniosła głowę i poczuł jej język na swojej dolnej wardze, mruknął:

- Na Boga, kobieto! Nie jest łatwo postępować z tobą powoli.
- Nie - wyszeptala. - Nie bądź powolny. Czuję się jak napięta sprężyna. Pomóż mi.

Słyszając to, przestał się hamować. Wcisnął ją w materac, wpijając się w jej usta. Języki spotkały się, dłonie splotły, ciała zapłonęły. Courtney wygięła się do tyłu, gdy Denver przesunął usta na jej piersi. Zaczęła drżeć niespokojnie. On, odsunawszy się, zdarł z siebie ubranie. Starzał się uspokoić oddech, zapanować nad rosnącym pożądaniem, na nic jednak zdały się te próby, gdy Courtney uniosła dłoń i dotknęła jego uda. Jak najdelikatniej zaczął zdejmować z niej bieliznę. Widok jej nagiego ciała zaparł mu dech w piersiach. Objął ją ramieniem, przysunął ku sobie i całując namiętnie, wszedł w nią. Z jej ust wdarł się jęk. Nie był to jednak jęk bólu. Ten niski i zmysłowy głos odebrał mu do reszty władzę nad sobą.

Czas płynął, a oni upajali się każdym dotknięciem, każdym najmniejszym ruchem. Z początku Courtney niepewnie naśladowała ruchy mężczyzny. Później, gdy poczuła, że wszystko w niej wiruje, zacisnęła mocno ręce wokół jego ciała i zaczęła sama kierować nim.

Gdy Denver poczuł siłę jej uścisku i usłyszał wyszeptane swoje imię, poddał się niszcącemu wybuchowi zmysłów. Kiedy ruchy stały się nieco wolniejsze a oddech spokojniejszy, Denver oparł się na łokciach i uniół głowę. Ujrzał jej rozpalone oczy i igrający na ustach delikatny, kobiecy uśmiech.

- Czy wszystko w porządku? - wyszeptał. Włosy dziewczyny przesunęły się po poduszce, gdy poruszyła głowę.
- Kilka lat temu mama nagrała piosenkę o locie ku słońcu. Teraz ją zrozumiałam. Twarz mu złagodniała, pocałował bardzo delikatnie jej włosy i zsuwając się z jej ciała, położył się obok
- Dlaczego teraz, Courtney? - zapytał, gładząc jej włosy. - Co sprawiło, że przestałaś uciekać ode mnie?

Zamyśliła się.

- Wydawało mi się, że uciekam przed tobą, a w rzeczywistości uciekałam od siebie samej. Wierzyłam, że wszyscy podzielają opinię Philipa i w ten sposób myślą o moim kalectwie. Zawsze nienawidziłam współczucia, ale nurzałam się w żalu nad sobą do chwili, gdy spotkałam ciebie. Ty mi na to nie pozwoliłeś.

Odgarnął miękkie pasmo włosów z jej twarzy.

- Wiedziałem, że nie uwierzysz mi, gdy powiem, że klamra na twojej nodze nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. W każdym związku obie strony muszą się do siebie dopasować. Ja muszę jedynie stawiać krótsze kroki. Ty powinnaś trzymać się na baczności w towarzystwie mego brata.

Usłyszała rozbawienie w jego głosie i zobaczyła troskę w spojrzeniu. Wniósł wiele wspaniałych uczuć w jej życie: miłość, radość, pewność siebie. Cokolwiek przyniesie im przyszłość, ich wspólna przeszłość, zawsze będzie mu wdzięczna za jego upartą pogoń, za ignorowanie wszystkich jej protestów.

Wydała okrzyk zdziwienia, gdy nagle podniósł ją z łóżka.

- Co robisz?
- Czy brałaś kiedyś prysznic w ciemnościach?
- Wydaje się to trochę niebezpieczne - powiedziała, uśmiechając się i mocno obejmując go za szyję.
- To będzie wspólny wysiłek. Jeśli nie będziemy nic widzieć, przyjdzie nam polegać na dotyku. Mogłoby to okazać się bardzo ciekawe, ale chyba jednak lepiej zabrać ze sobą lampę.

Przez najbliższe pół godziny Courtney mogła przekonać się, że Denver lubi mieć zajęte ręce. Zajęte nią. Podtrzymywał ją pod prysznicem, obejmując jedną ręką w talii, a drugą swobodnie przesuwał po jej ciele w strugach wody. Radził sobie doskonale, wycierając ją i siebie jedną ręką. Zetknięcia wilgotnej i gorącej skóry ze skórą równie wilgotną i gorącą, wymieniane szybko pocałunki znowu przyspieszyły im oddechy. Ponownie znaleźli się w łóżku.

Kochał ją powoli, potęgując napięcie między nimi, aż znowu ogarnęła ich pochłaniająca wszystko fala wielkiej rozkoszy.

Mimo, że Courtney i Denver niewiele spali tej nocy, zbudzono ich wcześniej. Gdy poszturchiwania nosem nie dały oczekiwanego efektu, pies wskoczył na łóżko, lądując łapami na żołądku Denvera. Zrzucony, rozpoczął tańce na podłodze.

- Co, u licha, dzieje się z tym psem?

- Chce wyjść na spacer.
- Więc co go powstrzymuje?
- Zamknięte drzwi, jak sądzę. -Och!

Dziewczyna uśmiechnęła się bez zamiaru opuszczenia łóżka. Denver przysunął się do niej, włożył dłoń pod prześcieradło i przycisnął ją mocniej.

- Niech wygryzie sobie dziurę w drzwiach, jedli tak bardzo chce wyjść. Ja jestem teraz zajęty.

Pochylił się nad nią i zaczął ją całować. Mała iskierka pożądania zamieniła się w płomień. To jego dłonie i wargi dokonywały tych czarów. Nagle drgnął i krzyknął.

- Co się stało? - spytała.

- Chyba twój pies dotknął właśnie swoim zimnym nosem części mojego ciała łączącej nogi z plecami. Najpierw koza, teraz pies. Bądź tak dobra i nie wspominaj o tym Phoenixowi. Nie będzie końca jego żartom.

- W porządku, nie powiem ani słowa. Denver westchnął.

- Mam wielką ochotę na to, co robiliśmy, zanim twój pies przeszkodził nam tak niegrzecznie. Pora już jednak wstawać. Niebawem pojawi się gospodyni z mężem oraz moi pracownicy.

Kierując się ku drzwiom, nieomal rozdeptał podskakującego psa.

Choć przyjechała na plantację własnym samochodem, Courtney zgodziła się, by Denver odwiózł ją do domu. Chciała być z nim jak najdłużej.

- Kiedy wraca Brownie?

• Za kilka dni. Mamusia namówiła ją, by została aż do jej powrotu. Brownie z trudem przyzwyczajają się do przepisanych jej okularów. To był właśnie powód bólów głowy. Przeszła wszystkie testy i okazało się, że nic więcej jej nie dolega.

• Cieszę się, że wszystko z nią w porządku, ale to dobrze, że jeszcze nie wraca.

Będziemy mieć kilka dni i nocy dla siebie.

- A może mam inne plany? - szepnęła.

- Nie ma sprawy, jeżeli mają związek ze mną. A propos planów, Phoenix i ja odbieramy w sobotę nagrodę Stowarzyszenia Budowlanego w Richmond, oczywiście pójdiesz tam ze mną.

Courtney zaczęła protestować, ale on energicznie powtórzył:

- Chcę, byś tam poszła.

Potwierdził to pocałunkiem. Ze zdumieniem odkryła, że jest gotowa przejść nawet po rozpalonych węglach, jeśli Denver miałby na nią czekać.

- Pójdę - potwierdziła.

Na jego twarzy pojawił się wyraz radości i ulgi.

Podjechali pod jej dom. Gdy szli do drzwi, Denver wyciągnął nagle rękę i zatrzymał dziewczynę.

- Co się stało?

-Nie wiem. Zostań tutaj. Drzwi i ułóż się na progu.

Podszedł ostrożnie i pchnął je lekko / m y|||u| się na progu. W pokoju leżał przewieszony ItóM i roztrzaskane doniczki z kwiatami, B ni < linii ktoś napisał sprayem obraźliwe, wulgarne IIOWO

ROZDZIAŁ IX

Usłyszał stłumiony okrzyk. Odwrócił się. W drzwiach stała Courtney z rozszerzonymi przestraszonymi oczami.

- Psia krew! Powiedziałem, byś nie wchodziła.

- Bezpieczniej czuję się z tobą niż sama na zewnątrz.

Przeczytała przekleństwo wypisane na ścianie i przestępując rozbitą doniczkę, zajrzała do salonu.

• Dokąd idziesz? - zawołał.

• Zobaczę, co jeszcze zniszczono.

• Pójdę pierwszy, ktoś może być w środku.

• Nikogo już tu nie ma. Wziął ją za rękę.

• Skąd ta pewność?

Pokazała na psa, stojącego spokojnie za nimi. Różowy język zwisał mu z pyska, a długa sierść leżała gładko na karku.

-Masz rację, Courtney. Pies wyczułby obecność intruza.

Rozpoczęli oglądanie mieszkania. Wszędzie panował bałagan. Poprzewracano meble, z półek wyrzucono książki, z szafy - ubrania. Obrazy zrzucano ze ścian. Zniszczenia nie były jednak aż tak poważne. Jeśli nie liczyć napisów na ścianach, dom można by przywrócić do porządku w ciągu kilku 160 godzin. Courtney wpatrywała się w słowa wypisane na ścianie. Jedno zwłaszcza przyciągało jej uwagę. Słowo „twój” napisano błędnie jako „twuj”. Zaczęła się zastanawiać, gdzie widziała ten błąd. Tymczasem Denver podniósł słuchawkę telefonu.

• Do kogo chcesz dzwonić?

• Na policję.

Omijając stos leżących na podłodze książek, wyciągnęła wtyczkę telefonu.

• Jeśli zawiadomisz policję, może dowiedzieć się o tym prasa. Wystarczająco dużo pisano ostatnio o naszej rodzinie. Poza tym, ktokolwiek to zrobił, sprawi mu satysfakcję notatka w gazecie o jego wyczynie.

• Dobrze, nie poinformuję policji, ale zadzwonię do Staną. To przyjaciel, zachowa dyskrecję. On będzie nam mógł powiedzieć, jak zabezpieczyć się na przyszłość przed podobnymi incydentami. Może pójdiesz się spakować?

• Dlaczego?

• Nie zostaniesz tu przecież. Zabieram cię do siebie.

Courtney wyprostowała się ze zdecydowanym wyrazem twarzy. Była gotowa stoczyć z nim walkę. Wiedział o tym. Ale on zadba teraz o jej bezpieczeństwo, choćby jej się to nie podobało. Wykręcił numer telefonu Staną i krótko opowiedział mu, co się stało.

Courtney, nie mogąc kontynuować sporu, odwróciła się i wyszła. W kuchni, napełniając szklankę wodą, zauważyła, jak trzęsą się jej ręce. Nie mogła uwierzyć, że ktoś z jej uczniów mógł się posunąć tak daleko. Błędnie napisane słowo na ścianie zgadzało się jednak z tym, które widziała w znalezionym za wycieraczką anonimie.

Denver wszedł do kuchni, objął ją i przytulił.

- Stan będzie tu za mniej więcej godzinę. Mamy nie ruszać niczego przed jego przybyciem. Uważa, że powinniśmy sprowadzić policję, ale powiedziałem, że tego nie chcesz. - Czując, jak drży, pogłodził ją delikatnie po włosach, zajrzał w oczy. - Wiem, że nie chcesz tego, nie możesz jednak tutaj zostać. Nie upieraj się.

Uśmiechnęła się słabo.

• Może jestem uparta, ale nie głupia. Zostanę na plantacji.

• Przeprowadzisz się do mnie - powiedział stanowczo.

Twarz jej lekko pobladła.

• Tak po prostu?

• W jaki tylko sposób sobie życzysz. Chciałem ci to w końcu zaproponować, ta sytuacja tylko to przyspieszyła.

Popatrzyła na niego. Powiedział to w tak zwyczajny sposób, jak gdyby proponował zjedzenie posiłku w domu. Proponował jej uczucia. Kochała go, ale...

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

• To pewnie Phoenix - powiedział Denver i wyszedł z kuchni. Po minucie wrócił, prowadząc brata.

• Nie martw się, Courtney - powiedział Phoe-nix. - Bracia Sierra zajmą się wszystkim. Jesteśmy skuteczniejsi niż kawaleria, gdy dochodzi do walki z rozbrykaną młodzieżą.

Uśmiechnęła się blade. Tworzyli razem zespół nie do pokonania. A teraz dołączył do nich i Stan. Zaczęli w trójkę cicho rozmawiać. Courtney zastanawiała się, kim mógł być wandal, który dokonał tych wszystkich zniszczeń. Usłyszała pytanie De-nvera:

- Czy masz kartkę, którą znalazłaś przy samochodzie?

- Myślę, że tak. Dlaczego pytasz?

• Stan chce wiedzieć, czy nie masz problemów z kimś z uczniów. Powiedziałem mu o pogroźkach, które cię spotkały.

• Denver, nie chcę, by dręczono z tego powodu moich wychowanków. Mogą być niewinni. Może to sprawa jakiegoś dorosłego drania demolującego mieszkania.

• Sama w to nie wierzysz. Westchnęła.

• Nie, ale chcę w to wierzyć.

- Stan pomaga nam nieoficjalnie. Załatwi całą sprawę po cichu. Obiecuję ci.
- Chciałabym porozmawiać ze Stanem, zanim

pokażę mu ten anonim. Troje moich uczniów nie zdało egzaminu, ale nie oznacza to, że właśnie oni zdemolowali mój dom. Chciałabym porozmawiać z nimi, zanim on to zrobi. Denver skrzywił się.

- Nie. Ty nie będziesz się w to mieszać.
- Ależ to moi uczniowie, jestem za nich odpowiedzialna.
- Ktoś z twoich słodziutkich osiemnastolatków mógłby zaszkodzić ci bardziej, niż się spodziewasz. Nie powinnaś się narażać.

Phoenix stanął między nimi.

- No, dzieciaki. Zachowujcie się porządnie w obecności policjanta, bo zmusicie go do użycia kajdanków.

• Pozwólcie mi zająć się tą sprawą - wtrącił Stan. - Chcę porównać pismo uczniów ze znalezionym anonimem oraz porozmawiać z nauczycielką sprawdzającą ich wypracowania. Wypytam również uczniów. Kiedy będę miał jakieś wiadomości, zawiadomię cię. Gdzie mogę cię znaleźć?

- Będzie w moim domu - oświadczył Denver. Courtney gwałtownie zaprotestowała.

Phoenix zachichotał.

- O rany! Znowu zaczynają. Chodź, Stan, zostawmy ich samych. Przynajmniej jest pewność, że nie zrobią już tu większego bałaganu, jeśli zaczną rzucać w siebie przedmiotami.

Kiedy wyszli, Denver spytał:

- Dlaczego tak się upierasz?
- A dlaczego ty tak nalegasz, abym zamieszkała u ciebie? Czy masz zwyczaj udostępniania swojego domu paniąkom, które znalazły się w kłopotach?
- Nigdy żadna nie mieszkała u mnie. Pragnę tylko twojego bezpieczeństwa.
- Mogę wrócić do mamy — powiedziała.
- Ona ma już na głowie Brownie i sprawy zawodowe. Po co zresztą ją martwić?

Dowiedziawszy się o napadzie, mogłaby odwołać koncerty i sesje nagraniowe.

- Mogę przenieść się do hotelu.
- Myślałem, że przestałaś już uciekać. Czyżby nic nie znaczyła dla ciebie nasza wspólna noc?
- Przecież wiesz...
- Może tylko mi się wydaje. Powiedz mi to. Powiedz, dlaczego poszłaś ze mną do łóżka? Dlaczego mi się oddałaś? Podaj powód.

Napierał na nią, rozbijał w pył każdą jej próbę oporu.

- Kocham cię. Inaczej nigdy nie spałabym z tobą.

Odetchnął z ulgą, chwycił dziewczynę w ramiona i wtulił twarz w jej włosy. Potem długo, długo całował...

Jedną rzeczą, której nauczyło ją kalectwo, była wiedza, że należy koncentrować się na tym, co można osiągnąć, a lekceważyć to, czego dokonać nie sposób. Wyzwoliła się z jego ramion i podeszła do drzwi.

- Dokąd idziesz?
- Spakować się. Zatrzymam się u ciebie, dopóki dom nie zostanie uprzątnięty i nie powróci Brownie.

Zamknął oczy i oparł się o blat stołu. Więc zamieszka u niego. Budząc się rano,

będzie miał ją obok siebie. Jej rzeczy będą wisiały przy jego ubraniach, a dom wypełni ciepło i uśmiech dziewczyny. Kocha go.

Poczuł, że wszystko w jego życiu zaczyna się układać. Chciał jak najszybciej rozpocząć życie z Courtney.

ROZDZIAŁ X

Podczas gdy Courtney była zajęta pakowaniem, Denver zadzwonił po ekipę porządkową i ustalił, kiedy ma przyjechać, by zrobić porządek i wy ma lować ściany. Gdy załatwił już wszystko, skierował się do sypialni, niespokojnie czekając momentu, kiedy będzie mógł zabrać dziewczynę do siebie. Courtney przebrała się w białą bluzeczkę i opinające jej zgrabne biodra džinsy. Zatrzymał się o krok od niej. Wziął z jej ręki bluzę, którą właśnie składała do walizki. Przyciągnął do siebie i przechylił delikatnie na łóżko.

- Courtney - wyszeptał. - Nie mogę czekać.
- Nie chcę, żebyś czekał - odparła z uśmiechem.

Objęła jego głowę, przyciągając go do siebie. Jego żądza była zbyt mocna, by tracić czas na zdejmowanie całego ubrania. Rozpiął spodnie Courtney, szarpnął zapięcie własnych džinsów. Splatając palce z palcami Courtney, rozłożył jej ręce po obu stronach głowy. Ich spojrzenia spotkały się, gdy zagłębiał się w jej ciało, rozkoszując się coraz bardziej jej kształtami, zapachem. Była jego kobietą. Jego drugą połową.

Courtney dziwnie się czuła, po raz drugi wchodząc do domu Denvera. Tak wiele wydarzyło się

w tak krótkim czasie. Nastąpiło tyle zmian. Nie tak dawno jeszcze nie mogła sobie nawet wyobrazić pójścia z nim na obiad, a teraz będzie dzielić z nim stół i łóżko.

- Nie mam przed tobą żadnych sekretów, obejrzyj wszystko, na co masz ochotę. Ja muszę pojechać do firmy. To nie potrwa długo. Nie otwieraj drzwi pod moją nieobecność. Do diabła, wcale nie chcę cię zostawiać - westchnął.

Położyła dłoń na jego ramieniu i popchnęła delikatnie w kierunku drzwi. Denver odwrócił się, pocałował ją jeszcze raz i wyszedł. Postanowiła zadzwonić do matki. Była nieco zaskoczona, że Amethyst nie posiadała się z radości na wieść, że córka zatrzymała się u Denvera.

- Mamusiu, czy nie powinnaś załamać rąk i powiedzieć, że szokuje cię to, iż twoja córka zamieszkała z mężczyzną?
- Przede wszystkim, nie należę do załamujących ręce. Też bywałam zakochana, wiele razy, jak pamiętasz. Myślę, że to cudowne, że zakochaliście się w sobie. Kiedy ślub?
- Jeszcze nie rozmawialiśmy o tym.
- Dobrze. Cokolwiek postanowicie, przyjadę, choćbym miała odwołać występy w Białym Domu.

Podczas dwugodzinnej nieobecności Denver zadzwonił do niej dwa razy, za każdym razem tylko po to, by porozmawiać choć chwilę. A gdy wrócił, przemienił cały dom w sanktuarium miłości.

Courtney przyzwyczajała się do nowego mieszkania. Zrobiła nawet parę drobnych zmian w kuchni i łazience. Podczas pobytu Denvera w pracy zaczęła zajmować się swoją pracą naukową.

Cudowne były wieczory i noce. Wspólne kolacje i śniadania. Kochali się ciągle szaleńczą miłością. Nie słyszała, niestety, nadal tych słów, które tak bardzo chciała od niego usłyszeć.

W sobotę Denver zabrał ją ze sobą na plantację. Gdy on doglądał prac swojej ekipy na parterze, Courtney rozpoczęła poszukiwanie ciuchów na zmianę w szafie Crystal. Rozkładała właśnie na łóżku ubrania, kiedy wszedł Denver.

- To nie będzie tak bardzo oficjalne spotkanie. Wystarczy sukienka koktajlowa.
- O czym ty mówisz?
- Na dzisiejszym bankiecie odbieramy z Phoe-nixem nagrodę, nie pamiętasz?

Z westchnieniem obróciła się ku szafie. „Co mam zrobić? - myślała. - Te wszystkie sukienki Crystal są za krótkie, przed kolano albo nawet nieco wyżej.”

- Denver, nie mogę tu nic dla siebie znaleźć. Wyciągnął sukienkę w kolorze morskiej wody.
- Może tę?
- Jest przecież dla mnie za krótka.
- Zaufaj facetowi, który się na tym zna. Masz fantastyczne nogi. Zauważyłem to.
- Nie lubię nosić mini. Klamra rzuca się wtedy w oczy nawet w ciemnym pomieszczeniu.
- To ty rzucasz się w oczy i to nie ma nic wspólnego z klamrą. Chciałbym, byś nie zwracała sobie głowy tym, co myślą ludzie. Chcę, byś była razem ze mną wszędzie. Obręcz nie ma żadnego znaczenia.

„Będę to mogła dzisiejszego wieczoru sprawdzić” - pomyślała Courtney.

Po dotarciu do hotelu na przedmieściu Richmond, w którym miał się odbyć bankiet, w korytarzu wpadli na Phoenixa. W jego ramionach wisiała oszałamiająca blondynka, którą przedstawił jako swoją fizykoterapeutkę, Tamarę Brown. Jej strój zdecydowanie nie miał nic wspólnego z kitem lekarskim. Jaskraworóżowa sukienka z lycry nie zmuszała niczym wyobraźni do nadmiernego wysiłku. Tamara uśmiechała się czarująco, nie zwracając uwagi na spojrzenia rzucone jej przez wszystkich mężczyzn. Jeden z nich wpadł nawet na palmę, wlepił bowiem w nią oczy, zamiast patrzeć pod nogi.

Courtney również zwróciła uwagę wielu osób. W pożyczonej od Crystal sukience jak morska woda wyglądała bardzo powabnie. Ale nie jej zgrabna sylwetka przyciągała uwagę, tylko ta klamra.

Denver obrócił ku niej swoje dobre, kochane oczy i ścisnął mocniej za ramię. Zapomniała 170 o wszystkim, a właściwie o wszystkich, prócz niego. Rozpoczął się bankiet...

Bawili się doskonale, ale gdy wiec/oi zbliża! się ku końcowi, nie trzeba było jej namawiać do wyjścia. Już w samochodzie Denver zapytał: -Ijak, mój malutki nauczycielu, czy /dałem ej-zamin?

- Jaki egzamin?

- Czyżbyś nie zastanawiała się, jak będę się zachowywał, gdy pokażemy się razem wśród ludzi? Przyznaj się, martwiłaś się, jaka będzie moja reakcja, gdy inni ujrzą twoją klamrę.

Milczała.

- Był to jeden z powodów, dla których nie chciałaś iść na bankiet.
- Wiem, powiedziałaś, że moja klamra nie ma dla ciebie znaczenia, musiałam się jednak o tym przekonać.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Mam ochotę na jeszcze inną rozrywkę po powrocie do domu - powiedział, naciskając pedał gazu.

* * *

Następnego ranka ich późne śniadanie przerwał dzwonek u drzwi. Zjawił się Phoenix. Do Courtney podbiegł Beau, trzymając w pysku patyk z nawinętym jasnym plastikowym paskiem. Z trudnością udało się dziewczynie mu go odebrać. Tymczasem Phoenix usiadł i powiedział:

- Stan już jest w drodze. Mamy interesujące was wiadomości. Znalaziono winne dzieciaki. To para małolatów, David Stewart i jego dziewczyna. Dzieciaki obarczyły cię, Courtney, winą za to, że nie będą mogły być razem w college'u. David oblał egzamin u ciebie i dlatego nie może zostać przyjęty do tego samego college'u, co jego panna. On napisał anonim i dzwonił, a ona ze swoimi przyjaciółmi zdemolowała twój dom. Stan przyjedzie dowiedzieć się, co chcesz zrobić z tą parką. Decyzja należy do ciebie.

Courtney myślała bardzo długo. Phoenix i De-nver rozmawiali o pracach na plantacji. Wreszcie przyjechał Stan.

- Co zdecydowałaś, Courtney? Zdziwili się, gdy usłyszeli:
 - Proponuję wysłać Davida do wakacyjnej szkoły. Zamiast beztrudnie cieszyć się latem, przyjdzie mu pocić się nad książkami. Tylko od jego własnej pracy będzie zależało, czy osiągnie taką średnią wyników, która pozwoli, by przyjęto go do college'^
- Dziewczyna też zostanie ukarana, bo spędzi lato bez Davida.

Stan zaproponował, żeby poinformować o całej sprawie rodziców tej młodej pary, ale Courtney zaprotestowała.

- Uważam, że to David powinien zdecydować, czy skorzysta z szansy i zabierze się do nauki.

Stan uśmiechnął się i wstał z krzesła.

- Możliwe, że masz rację, Courtney. Może tobie uda się wygrać z tymi cholernymi dzieciakami.

• Dziękuję ci bardzo - powiedziała. - Spróbuje-Gdy Stan i Phoenix wyszli, popatrzyła na Dciwera.

- Nie podoba ci się moja decyzja, prawda?
- Sądzę, że potraktowałaś ich bardzo łagodnie. A to co? - Patrzył na leżący na jej kolanach patyk.

• To Beau nosił w pysku.

Podala patyk Denverowi. Zdziwiła ją zmiana wyrazu jego twarzy. Myślał nad czymś bardzo głęboko.

„Co się stało? - zastanowiła się. - Czyżby zaraz miał mi powiedzieć, że chce mnie odwiedzić do domu? Stan mówił przecież, że już tam posprzątało.”

- Chcesz, abym się już wyprowadziła?
- Coś ty! - Chwytał ją za rękę i pociągnął energicznie za sobą. Wyszli przed dom.
- Czy widzisz ten patyk?

- Tak, widzę.
 - A widzisz tamten?
 - Tak. Nie rozumiem, co to jest? Denver mocno ją objął i gorąco pocałował.
 - Zaczynam dla ciebie budowę basenu. To jedyna rzecz, która jest w twoim domu, a nie ma jej u mnie. Nie chcę, abyś wracała do siebie. Pragnę, byś mieszkała tutaj.
 - Oczywiście przez całe życie.
 - Dlaczego?
- Wziął jej twarz w dłonie i powiedział czule, patrząc w oczy:
- Kocham cię, Emerald Courtney Caine. Pierwszej nocy, gdy cię spotkałem, zapragnąłem, byś nazywała się Emerald Courtney Sierra i była przy mnie do końca naszych dni.
- Jej twarz rozjaśniła radość. Zarzuciła mu ręce na szyję. Porwał ją z ziemi całując.
- Czy mam rozumieć to jako „tak”? - zapytał, pozwalając jej wreszcie stanąć na nogi.
 - Tak - wyszeptała z płonącymi szczęściem oczami.
 - Dobrze, że mówisz „tak”. Nie zgodziłbym się na żadną inną odpowiedź.
- Całował ją namiętnie, trzymając w ramionach, jakby była najcenniejszą rzeczą na świecie.
- Tymczasem pies złapał jeden z kijków zębami, przyniósł i rzucił na trawę u ich stóp. Miał jeszcze długo czekać, zanim któreś z nich zwróci na niego uwagę.